Nr. 14. Rok II.

We Lwowie 7. Kwietnia 1883.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

Przedpłata na „ZIARNO" wynosi:

W miejscu	rocznie:	12 zł. —	na prowincji: 13 zł.
„	kwartalnie:	3 „ —	„ 3 „ 25 ct.

prenumeratorowie kwartalni otrzymają pierwszy kwartał „Ziarna" za połowę ceny

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczamy INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę tak miejscową, jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA" w drukarni „Dziennika Polskiego" we Lwowie ul. Halicka l. 46.,

tudzież wszystkie księgarnie.

Od Administracji. Upraszamy Sz. pp. Prenumeratorów miejscowych „Ziarna," aby prenumeratę na nasze pismo składali w Administracji ul. Halicka l. 46. Za prenumeratę składaną na ręce kolporterów, Administracja „Ziarna" nie bierze na siebie odpowiedzialności.

PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE," raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Nr. 15. „Ziarna" wyjdzie d. 14. Kwietnia 1883.

Polecenie towarów!

Polecając wszystkie nazwy kawy z jednego wora i wszystkie gatunki wina z jednej beczki — jest bezczelnością. Mogę tylko towary w przednim i najprzedniejszym gatunku według nazw własnych polecać i sprzedawać:

CUKIER w głowie I. 49 II. 46 ct. za kilo.
„ w kostkach „ 52 „ 50 „ „
„ w mączce „ 48 „ — „ „

KAWA w wypróbowanych i uznanych z dobroci i wybornego smaku gatunkach:

PORTOCABELLO ZIELONA Nr. I.|80 ct. II.90 ct. III.1 zł za pół kilo.
COSTARUCCA 70 ct. . . . . . za pół k
CUBA ZIELONA Nr. 0|75 ct. . . . . „ „
PERŁOWKA ZIELONA Nr. 1·05 zł. żółta 85 ct. „ „
MOCCA ARABSKA 1 zł. . . . . . „ „
JAWA ŻOŁTA Nr. I|80, II.|90 ct. III.|1 zł. . „ „
JAWA BRUNATNA 1·10 zł, ZŁOTA 95 ct. . „ „
HERBATA CONGO Nr. 0|1·50 zł. I.|1·75 zł. II |2·25 III.|2·75 zł. IV.|3·25 zł . . . . . „ „
HERBATA SOUCH ONG Nr. I.2·55 zł. II 2·75 zł III.|3·25 zł. IV.|4·25 zł. . . . . . „ „
HERBATA PECCO KWIAT VI.|3·25 zł. VII.4·25 zł. VIII.|5·25 zł. . . . . „ „
WYSIEWKI HERBATY (własnych herbat) 1·50 zł.
JAMAJKA RUM Nr. I·|1 zł. II 1·20 zł. III.1·50 zł. IV.|2·25 zł. za butelkę . . . . . „ „
COGNAC FRANCUSKI WYBORNY 24-letni 4 zł. 10-letni 2·50 zł., 2-letni 1·50 zł. za butelkę.
PORTER PRAWDZIWY ANGIELSKI lepszy niż Hoffa piwo słodowe, butelka 60 ct. pół butelki 40 ct.
SOK MALINOWY prawdziwy kilo 1·60 zł. flaszka 50 i 25 ct.
POWIDŁA SŁODKIE i CZYSTE kilo 32 ct.
RODZENKI Z PESTKAMI 1 kilo 72 ct.
„ bez pestek 1 „ 80 ct.
„ czarne 1 „ 60 ct.
MIGDAŁY SŁODKIE Nr. I. 1 zł. 30 ct.
BRYNDZA wyśmienita kilo 72 ct.
ŚLEDZIE SOLONE, SARDYNKI w oliwie i occie.
SER EMENTALSKI, SZWAJCARSKI, ROMADOUR i LIMBURSKI po najtańszych cenach.
KROCHMAL przeniczny 40 ct., ryżowy 54 ct. za kilo
RYŻ włoski 48 ct., długi po 40 ct., krótki I. 26 ct. II. 32 za kilo.
WINA NATURALNE i ROZOLISY podług osobnych cenników.

KROCHMAL POŁYSKUJĄCY, dotychczas celowi najlepiej odpowiadający, przyjemny w noszeniu delikatnej bielizny, i zatrzymujący trwale białość i sztywność, którą z Niemiec, Anglii i Austrji sprowadzane nie posiadają i tylko przez szarlatańskie ogłoszenia i kolorowe opakowania błyszczą. Tylko gospodynie i osoby trudniące się praniem bielizny mogą to kompetentnie osądzić i moje dowodzenia potwierdzić. Paczka zawiera 4 pakieciki, i aby tanim ofertom za złe wyroby zapobiedz, kosztuje od dzisiaj tylko 14 ct, pojedyńcze pakieciki.

MASA WOSKOWA DO ZAPUSZCZANIA POSADZKI, nieporównanie najlepsza i długo trwająca w 6 koloraeh, a prawdziwa tylko z moją marką fabryczną i opakowaniem pudełko 60 ct.

O. T. WINKLER

we Lwowie.



Główny skład

NASION i ROSLIN

J. STACHIEWICZA

we Lwowie

pl. Marjacki liczba 11.

poleca całkiem świeżego zbioru NASIONA jarzyn, kwiatów, buraków, i traw pastewnych, koniczyny, lucerny oryginalną francuską oraz drzewa owocowe, róże, krzewy do ozdoby parków, szparagi i t. p.

Posełki na prowincji uskuteczniają się odwrotną pocztą.

Główny CENNIK NASION na rok 1883 na żądanie franco.

Nakładem księgarni F. H. RICHTERA
(W. Altenberga) we Lwowie

wyszły:

ZE ŚWIATA

OBRAZKI I HUMORESKI przez autora „Kłopotów starego komendanta", Treść: Zemsta doktora. — Śledztwo domowe. — Na wycieczce. — Królik domowy.

Cena 1 złr. 80 ct.

Tegoż autora

Za groszem

OPOWIADANIA. Treść: Za groszem. — Pociecha artystów. — Zięć obywatelski.

Cena 1 złr. 80 ct.

Zajmująca treść, humor i lekkość stylu stawiają te powiastki w rzędzie najlepszych tego autora, isą prawdziwą ozdobą współczesnej literatury rozrywkowej. 1

Nr. 14. We Lwowie dnia 7. Kwietnia 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno“

W miejscu rocznie 12 zł.	na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „	„ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct.	„ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.

INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Od Administracji.

Z dniem 1. kwietna rozpoczynamy trzeci kwartał naszego wydawnictwa. „Ziarno“ wychodzić będzie pod tymi samymi warunkami jak dotychczas.

Prenumerata na „Ziarno“

W miejscu kwartalnie 3 złr.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct.
Na prowincji kwart. 3 „ 25 „
„ miesięcz. 1 „ 15 „

Celem uregulowania wydawnictwa prosimy o **wczesne nadsełanie prenumeraty**; natomiast zaś przyrzekamy, że odtąd w ekspedycji pisma naszego nie zajdzie żadne opóźnienie, które wynikało jedynie z niedokładności administracyjnych, obecnie już usuniętych.

W tym numerze zaczynamy druk nader zajmującej powieści **„autora Marzycieli“** pt. **„Ostatni Szaraczek,“** opartej na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848.

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli“.

I.

Na kolei w Stryju roiło się jak w ulu. Prócz kilkudziesięciu osób, spieszących do tego miasteczka na rzeczne kąpiele, pociąg lwowski przywiózł w tym dniu cały tłóm żydów, wracający na „szabas“ do domu. Gdy konduktor pootwierał wagony czwartej klasy, zaczęło się z nich wysypywać istne mrowie postaci nieczystych i obszarpanych, które dźwigając kosze, zawiniątka i poduszki, spieszyły przez peron, głośno hałasując. Wysiadłszy z mego przedziału, zatrzymałem się chwilę przy drzwiczkach; właśnie z wagonu czwartej klasy wysiadał pewien izraelita lwowski, znany powszechnie jako miljoner.

— Pan do Stryja na kąpiele? zapytałem.

— Nie... ja jadę na moje własne, świeże powietrze.

Prawda, pan Kiczkes miał piękną wioskę niedaleko Stryja.

— Ale jak to się stało — znowu zapytałem — żeś pan przyjechał czwartą klasą?

— A czy jest piąta? odparł pan Kiczkes tak naiwnie, że zawstydzony oddaliłem się, żałując, że nie umiem jak on oszczędzać.

Przecisnąwszy się przez tłum w sieniach, znalazłem się po drugiej stronie dworca kolejowego, gdzie stoją obszarpane dorożki, wózki i jakieś inne przyrządy, służące do wożenia ludzi, skazanych na podróż do Stryja.

— Z Nowegosioła nie ma koni! — zewsząd zawołano. Że moich koni nie zastanę, sam wiedziałem, chcąc bowiem zrobić żonie niespodziankę, przyspieszyłem powrót o dni kilka; nie moich też koni teraz szukałem, lecz jakiego wózka od biedy, w którymbym bezpiecznie mógł zajechać do domu.

— Może Wielmożny pan do Schwamma! Tam wszyscy panowie zajeżdżają: — wołał mały, pękaty żydek, usiłując wyrwać mi torbę, którą w ręku trzymałem.

— Pan hrabia zajedzie pod „Czarny Orzeł“ tam jest kasyno, tam jenerał zawsze przychodzi! — krzyczał drugi, usiłując odtrącić i zepchnąć w błoto swojego współzawodnika.

— Idź do kata! — zawołałem — ja nie jestem hrabią!

— Czemu Wielmożny pan nie ma być hrabią? Pan jeszcze lepszy niż hrabia!

Obawiając się, że krzykom i szarpaniom końca nie będzie, skoczyłem na wózek najbliższy i kazałem jechać do miasta. Dopiero tam oświadczyłem mojemu woźnicy, że mię powiezie do Nowegosioła.

Żyd z zakłopotaniem poskrobał się w głowę.

— Nie wiem, jak to będzie... dziś wieczór szabas.

— Jedź tylko dobrze, a pewnie wrócisz!

Żyd pokręcił głową, spojrzał na słońce a zaciąwszy konie, ruszył z miejsca.

Na długim moście, zbudowanym w Stryju nad rzeką tego samego nazwiska, na którym znajduje się napis, że prędka jazda jest tu wzbroniona pod karą „dwóch guldenów“, konie wlokły się powoli, krok za krokiem, a pan ich chcąc im jeszcze ulżyć, zeskoczył z koziołka i obok nich szedł zamyślony. Prawdopodobnie dręczyła go niepewność, ażali wróci do domu na szabas — z drugiej zaś strony żal mu było pewnego zarobku.

Przy końcu mostu mój woźnica zawołał głośno i radośnie na człowieka, który zmierzał ku nam. Nadchodzący podniósł głowę, uśmiechnął się na pół wesoło, na pół idjotycznie i żydowi uścisnął rękę kordjalnie. Obadwaj zaczęli z sobą rozmawiać po żydowsku, co usłyszawszy konie, stanęły.

Nieznajomy był wzrostu miernego i mógł mieć lat przeszło pięćdziesiąt; dzięki krępej i żylastej budowie ciała, w ruchach był zwinny, prawie młody. Na głowie, jasnym włosem okrytej, rzadko gdzie pokazywała się siwizna; brwi długie krzaczaste, zwisły nad oczyma głęboko osadzonemi, wąsy spadające zasłaniały mu usta. Ubiór jego był dziwaczny, ani chłopski, ani mieszczański. Na głowie miał czapkę francuzką, z daszkiem prosto stojącym, na ramionach wisiał surdut barwy czekoladowej, przymocowanej pod szyją nakształt dołmana węgierskiego; pąsowa kamizelka z guzikami uderzała w oczy z daleka, a wysokie buty z ostrogami, czyste i połyskujące, uzupełniały resztę odzienia.

Rozmówiwszy się z żydem, nieznajomy spojrzał na mnie i lekceważąco jednym palcem machnął koło czapki. Ruch ten miał starczyć za ukłon.

Nie obraziwszy się tą poufałością, odkłoniłem mu się uprzejmie, boć sam widok tego człowieka, był dla mie miłem zjawiskiem. Jego ruchy, ubiór, mowa żydowska, choć na pierwszy rzut oka można było poznać, że nie był żydem, nareszcie dziwaczne spojrzenia, robiły go istotą niecodzienną, którą może warto było spotkać i bliżej poznać.

— Wielmożny pan daruje — przemówił żyd do mnie — że ja dalej nie pojadę. Ja muszę wrocić do domu, bo dziś szabas, ale mój przyjaciel, pan Bereźnicki, pojedzie za mnie... On w całym Stryju najlepiej powozi.

Pan Bereźnicki podziękował Moszkowi za komplement i zaufanie, serdecznem ręki uściśnieniem, a skinąwszy mi znowu palcem, wskoczył jak kot na kozioł.

— Hej kary! dalej siwy! — krzyknął głosem piskliwym, i świstając batogiem, ruszył co koń wyskoczy.

II.

W Słobódce konie osadziły na miejscu.

— Pan dobrodziej lubi piwo? zapytał dziwaczny woźnica, pół ciałem do mnie się obracając

— Jak czasem.... Jeżeli dobre.

— O! tu dobre, słowo honoru, bardzo dobre! Ja panie dobrodzieju tak lubię piwo, że gdybym mógł, piłbym od rana do wieczora.

— To każ sobie dać — rzekłem.

— Każ sobie dać? — powtórzył, mierząc mnie groźnem spojrzeniem. — A czy to ja jaki dureń, czy co, żebym sobie kazał dawać. Patrzcie go jaki mi pan! Ja jak piję to nigdy sam!

— Więc napijemy się obadwaj.

— Tak to mi się podoba! Zaraz poznać, żeś pan szlachcic. Szlachta panie dobrodzieju, zawsze pije w kompanji. Hej żydzie! — krzyknął, dumnie głowę podnosząc— piwa dwie szklanki!

Przed karczmą stał żydek pejsaty, i z ciekawością właściwą wszystkie arendarzom, przypatrywał się memu woźnicy.

— Słyszałeś hultaju! czy chcesz, żebym ci powtórzył batogiem?

To rzekłszy, chciał z wózka zeskoczyć, co widząc żydek, wbiegł do karczmy i pochwili wyszedł z dwiema szklankami, w których nie tyle było piwa ile piany.

Bereźnicki podał mi jedną szklankę, drugą wziął sam i trącając o moją zawołał:

Na zdrowie, panie dobrodzieju!

Wypił, rękawem usta sobie obtarł i nie czekając, aż żyd wyda mi resztę z dwudziestu krajcarów, uderzył konie i zawołał:

— Furda kilka centów! Szkoda czasu, panie dobrodzieju! Teraz pojedziemy po kawalersku, po szlachecku panie dobrodzieju!

Po tych słowach stanął na wózku i balansując zręcznie, jak linoskok, popędzał ciągle konie, które ponoś od dawna nie były w rękach tak energicznych. Biedne koniska, wytężając resztę sił, biegły ku Wierczanom bezustannym galopem.

— Dajcie pokój biednym koniom — przemówiłem, szarpiąc go za surdut — gotowe popadać.

— Nic im nie będzie, panie dobrodzieju nic; Przecie my nie pojedziemy jak zmazią. Jak Bereźnicki jedzie, to aż ziemia drzy!

— Bardzo to pięknie, mój panie Bereźnicki, lecz jeżeli Moszko dowie się od kogo, jak bez litosci obchodziliście się z jego końmi to....

— To niech wszyscy djabli porwą żyda psiawiarę! — przerwał mi szorstko, spuszczając cały grad batogów na grzbiety biednym zwierzętom.

— Czy godzi się tak wyrażać o swoim przyjacielu?

— O moim przyjacielu? — powtórzył Bereźnicki bezwładnie upadając na kozioł. Czy doprawdy ja mam być jego przyjacielem?

Zmiana, która teraz w mówiącym nastąpiła, była tak nagła, tak dla mnie niepojęta, że mimowoli oddech wstrzymałem, jak gdybym chciał ukryć gwałtowniejsze serca uderzenia. Byłaż to obawa, lub wrażenie niespodzianki?

Bereźnicki puścił batóg i lejce, oddając konie ich własnej woli; potem obróciwszy się do mnie, wsparł łokcie na koziołku i spojrzał mi w oczy.

Twarz jego była mocno pomięta i blada: brwi złączyły się razem, usta lekko drgały, a oczy siwe, z głębokich jam wyzierając rzucały światło niepewne, jak ogniki błędne. Wyraz jego oblicza był gorżki i bolesny.

— Więc pan doprawdy myślisz, że Moszko jest moim przyjacielem? — mówił powoli, od czasu do czasu głową potrząsając.— Czyż na tym świecie trudno o człowieka tak rozumnego, któryby przecie pojął, że Hilary Bereźnicki, szlachcić z dziada pradziada, nie może być przyjaciem takiego łakomego i brudnego żyda, który Chrytusa Pana ukrzyżował?

— Jeżeli pan szlachcic i Bereźnicki się, nazywasz, to czemu wysługujesz się żydom? Wszak już z tego, że mówisz po żydowsku, łatwo się domyśleć, żeś z nimi niemało spędził czasu.

— Czemu się żydom wysługuję, czemu? Cha! cha; cha! Alboż pan dobrodziej nie wiesz, że mnie ludzie zrobili warjatem, szalonym. Słowo honoru, panie dobrodzieju. jakem szlachcic, jakem Bereźnicki ja warjat! warjat! Po tych słowach błysnął złowrogo oczyma. a chwyciwszy lejce i batóg, krzyknął jak dawniej:

— Hej kary! Dalej siwy!.. Po kawalersku, po szlachecku panie dobrodzieju!

Przestraszone koniska wyciągnęły się jak struny.

III.

— Jak się macie, Iwanie, czy wół wam już wyzdrowiał? — Kaśko! Kaśko! a kiedy twoje wesele? Czy Semko wrócił już z wojska?— Hryciu, czemuś uciekł ze dworu? Poczekaj! odstawią cię żandarmi! — Hej! panie przysiężny, pożegnajcie się z chałupą... Z banku przedwczoraj przyszło do sądu, żeby wam za dług zlicytować grunt i chałupę... A nie mówiłem wam, kiedy czas był jeszcze, że to bank złodziejski? — Patachno! a to co Kto ci oko podbił? Pewnieś się opiła w kar-

czmie. — Ej! ty dzieciaku, nie płacz się po drodze, bo cię przejadę! Twojej matce dałbym sto batogów, że cię puszcza na drogę!

Tak przemawiał pan Bereźnicki do włościan, gdyśmy przez wieś jechali. Chłopi uśmiechali się do niego, niektórzy nawet kapelusze zdejmowali, lecz on nie odkłonił się żadnemu, ani nie czekał, by mu odpowiedziano na jego zapytania.

— Jak widzę — przemowiłem doń za Podhorcami — to Bereźnicki zna tu każdego człowieka.

— Nie tylko człowieka, zna każdą krowę, każde cielę, każdego wieprzka. Na trzy mile dokoła Stryja wiem panie dobrodzieju, ile każdy gospodarz ma gęsi!

— Na cóż tych wiadomości?

— Na to, panie dobrodzieju, żeby wszystko mieć w małym palcu. Potrzebuje Moszko furmana, Bereźnicki jedzie, potrzeba kogo posłać z miasta z depeszą o trzy mile, Bereźnicki idzie, choćby na dworze była północ, a deszcz, lub śnieg oczy zasypywał; nie ma woźnych w sądzie, a potrzeba rozesłać dużo papierów po wsiach okolicznych, Bereźnicki niesie wszystko pod pachą; potrzeba być pomocnym przy jakiej licytacji, lub ściąganiu podatków, Bereźnicki jest także, bo on wszystko ma w małym palcu, on wszystko umie, on do wszystkiego!

— To bardzo pięknie, że pan Bereźnicki bierze się do wszystkiego... Czy jednak nie byłoby lepiej poświęcić się jednemu zawodowi? Czy takie życie nieporządne, rozerwane, może sprawić przyjemność? Wszak każdy człowiek powinien mieć jakiś cel przed sobą...

Jak wtedy, gdym go nazwał przyjacielem Moszka, tak i teraz mój woźnica z człowieka, jak na swój wiek, zbyt wesołego rozstrzepanego, stał się od razu starcem złamanym i zamyślonym.

Właśnie byliśmy na wyżynie, łączacej Podhorce z Komarowem. Dzień był tak piękny, jak uśmiech anioła. W złotem słońca oświetleniu kołysały się szare łany żyta; obok nich bociany przechadzały się poważnie; przepiórki biły w jęczmionach, a bydło rycząc, wracało z pastwiska na spoczynek południowy. Powietrze było tak czyste, tak przejrzyste, że poza sobą widziałem wszystkie kontury Karpat, z ostatniemi szmatami białego śniegu, a na lewo wzrok gonił wzdłuż równiny kilkumilowej, zasianej wioskami i lasami, między któremi, jak cienka nić srebrna, wiła się rzeka Stryj, dążąca tędy do Dniestru.

Bereźnicki zatrzymał się w pobliżu krzyża, znajdującego się w tem miejscu i spojrzał na równinę. Tajemniczy ten człowiek tak mnie zajął, że z największą chęcią poddałem się jego kaprysowi i wyskoczywszy z wózka, stanąłem tuż przy nim. On siedział ciągle na koziołku, spoglądając przed siebie, a że z rąk bezwładnych lejce mu wypadły, więc biedne konięta, skorzystawszy ze sposobności, zwiesiły głowy, by skubać trawę nad rowem.

Z oczu mojego woźnicy zaczęły padać łzy, które jak groch toczyły się po jego policzkach.

— Pan mię pytasz — przemówił po chwili — czemu nie poświęciłem się jednemu zawodowi i czemu się żydom wysługuję? Alboż ja wiem, jak to się stało? Powiedz mi raczej ty, mój młody panie, czemu ludzie nieszczęśliwi, chociaż na to nie zasłużyli, czemu pokutują ci, którzy nigdy nie zgrzeszyli? Ja sam nieraz długo nad tem myślałem, ale chociaż głowa mi pękała, nie umiałem sobie odpowiedzieć. Ludzie mną gardzą i warjatem zowią; ja sam czuję, że w głowie mojej coś się popsuło, bo czasem, gdy wszyscy płaczą ja śmieję się, jak szalony, a gdy śmieją się inni, ja płaczę, nie wiedząc czemu... Czy wiesz pan jednak, że i ja byłem innym, a nie zgrzeszywszy niczem, zostałem takim, jakim dziś jestem? Smutno to powiedzieć, mój młody panie, bardzo smutno, że człowiek cierpi nieraz niesprawiedliwie!

Rzekłszy to, pan Bereźnicki ukrył twarz w obu dłoniach i dość długo trwało, zanim głowę podniósłszy, znowu mówić zaczął:

— Gdybym w Boga nie wierzył, w Jego sprawiedliwość i miłosierdzie, tobym musiał przypuścić, że ludzie rodzą się nie wiedząc na co, że już w kolebce większa ich połowa jest skazana na łzy i niedolę, mniejsza przeznaczona do uśmiechów i szczęścia! Ale kiedy tak nie jest, kiedy Bóg jest spawiedliwy, to chyba nas karze za grzechy ojców A ciężkie musiały być te grzechy, skorośmy tak zeszli na marne. Bo niech pan jeno spojrzy dokoła siebie. W tamtej wsi na prawo, mieszkał szlachcic zamożny, dziś w jego dworze żyd pejsaty wyspiewuje „majufes“. Hen na lewo, przed dwudziestu jeszcze laty żyła rodzina starożytna, znałem ją dobrze, oj! bardzo dobrze! dziś jakiś adwokat wyłudził od niej majątek, a nieletnich jej potomków wypędził w świat o kiju żebraczym! Tu w tych wsiach przed nami, rozsiedli Prusaki, gorsi od żydów, bo nieużyteczni dla kraju, jak oni, a stokroć od nich zuchwalsi! Tak to, mój panie, ginie szlachta stara, która kiedyś tam za polskich czasów, miała królom rozkazywać, szlachta zaś drobniejsza, zagrodowa, ta już dawno żydom wodę nosi. Tak, mój młody panie, tak, zeszliśmy na dziady, na psy i wkrótce ślad ostatni po nas zaginie!

— Zanadto w czarnych kolorach widzisz wszystko, mój panie Bereźnicki — przemówiłem. — Na świecie nie jest tak źle, a kto tylko szczerze chce się podźwignąć, zawsze może.

— Cha! cha! cha! — rozśmiał się na pół dziko — każdy mówi kazanie, bo to nic nie kosztuje, ale nie każdy wie, że łatwiej prawić, niż tak żyć, jak radzimy. Gdyby, mój panie żyć było tak łatwo, toć wszyscy księża byliby świętymi, a i ja nie wiózłbym dziś pana żydowskiemi szkapami, które od rana nie musiały mieć nic w pyskach, bo ot, jak żrą bodiaki: — Kto chce, może się podźwignąć!... — Niby to wszyscy nie chcemy, a jednak zeszliśmy na psy! Kazanie prawić nie sztuka, ale żyć, to mi sztuka i kawałek!

Pan Bereźnicki był zirytowany. Mówił szybko, rękami wymachiwał, czasem w czoło się uderzał, to znowu czapkę na głowie poprawiał. Usta miał sine i skurczone, jego oczy na wskróś mnie świdrowały; wyglądał jak człowiek, którego coś zaniepokoiło. Bojąc się go rozdrażnić, milczałem; on tymczasem mówił coraz szybciej i tylko niekiedy nagle urywał, jakby szukał wspomnień w pamięci. Zaledwie je znalazł, słowo znowu biegło po słowie, zdanie po zdaniu. Niektóre z nich były piękne, nawet głębokie; inne niejasne, urywane. Na pozór zdawało się, że to był człowiek rozumny tymczasem słuchając go dłużej, musiało się uwierzyć, że w jego siatce mózgowej zerwała się owa nić logiczna, którą ludzie wiążą swoje myśli.

Z tego wszystkiego, com słyszał, a słuchałem go godzin kilka, utworzyła się całość, niemająca w prawdzie głębi psychicznej, ani powabów idealnych, lecz zasługująca chociażby dla tego na powtórzenie, że jest obrazem owej szlachty zagrodowej, która na Rusi Czewonej przed czterdziestu jeszcze laty liczyła głów tysiące, dziś zaś tak znikła, że prawie ślad po niej nie został. Jedni rozpłynęli się w tym stanie średnim, który po naszych miastach dopiero się tworzy i nawet sobie nie przypominają, ażali kiedy byli szlachtą — drudzy nie mogąc losu zwyciężyć, zstępowali szczebel po szczeblu coraz niżej, i jak pan Bereźnicki wysługują się żydom. Prawdę powiedział, że ciężkie musiały być grzechy ojców, skoro synowie znikli z powierzchni ziemi, a nikt po nich nie płacze!

(C. d. n.)

W świątyni borów...

W wysokiej borów świątyni,
Gdzie szmaragdowe kolumny
Gwieździsty wspierają dach —
W cudownej borów świątyni
Rozlicznych tworów lud tłumny
Modli się.. w łzach! —

Gdy pierwszy promień poranny
Odchyli nocy zasłonę
Na szczytach dalekich wzgórz —
Leśnych dzwoneczków dźwięk szklanny
Do modłów krzewy zbudzone
Przyzywa już...

Słońce kotarą z purpury
Złotemi nićmi przetkniętą
W niepochwycony wzór —
Przystraja ołtarz natury,
Nad którym melodyą świętą
Brzmi ptasząt chór!

I chylą czoła królewskie
Z cichym pacierzy rozgwarem
Gromady sędziwych drzew —
I niezabudki niebieskie
Rozbudza po nad moczarem
Strumienia spiew!

Każdy tu kwiatek malutki,
Każdy liść trawek kobierca
I każdej muszki brzęk —
Nucić swe żale i smutki
I jasne uśmiechy serca
I skargi jęk —

Jak ciche a ufne dzieci
Niosą anielską tę spowiedź
Na Ojca wysoki próg! —
Gdzie słońc miliony się świeci
Gdzie czuwa — wieczna odpowiedź
...Bezsenny Bóg!

O! kto wśród losów zamieci
Utracił wiary kotwicę
W głębi bezdennych fal! —
O czyje, gwiazdy nadziei
Dojrzeć nie mogą źrenice,
Choć patrzą... w dal! —

Niech wejdzie w bór ten odwieczny —
Niech z rzewną dziecka prostotą
Spojrzy w ten cudów świat!
A znajdzie... uśmiech serdeczny
Wiążącą z niebem — nić złotą —
Ubiegłych lat!...

Ale — nie każdy dosłyszy
Tej tajemniczej w pustyni
Rozmowy światów dwóch —
Mnie, wśród najgłębszej ją ciszy
Powierzył — kapłan świątyni
— Poety duch!

Marja Bartus.

„Illegitimi Thori“.

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

— Jak się masz Kobylski — poznajesz mnie zapewne? — zaczął p. Kazimierz pół głosem z przyjaznym uśmiechem, chwytając za rękę idącego za trumną Jędrusia.

— A... ty tutaj? Świder... jak się masz kolego, ja jak widzisz przynajmniej w tej chwili mam się nieszczególnie. Grzebię jedynego na świecie przyjaciela mego...

— Ha cóż robić, wszyscy kiedyś pomrzemy, a profesor stary już był i prędzej później, z porządku rzeczy, musiał wyciągnąć kopyta . . . perswadował z właściwym sobie cynizmem p. Kazimierz.

— Tak znowu bardzo stary nie był nieboszczyk, miał ledwie siedmdziesiąt kilka lat. Przy spokojnem życiu i pielęgnowaniu, mógł był jeszcze śmiało żyć z dziesięć, piętnaście lat . . .

— Niechże mu tam świeci *in aeternitatem* światło niebieskie . . . Cóż ty robisz, już bo kopę lat cię nie widziałem.

— Kończę wydział filozoficzny, a równocześnie jestem nauczycielem domowym u państwa Wilskich w Zrębach.

— Wilscy Wilscy . . . coś mi znajomego. A! prawda, słyszałem, że to podobno bogaty szlagun, dorobkiewicz i przytem skąpiec okropny. Jak że ci tam jest u nich?

— Jestem z tego obowiązku bardzo zadowolony. Wynagradzają mię wcale dostatecznie, uczeń mój chłopak pojętny i dobry, państwo Wilscy są mi życzliwi, lepszej posady doprawdy życzyć sobie nie mogłem..

— To mnie cieszy... W zamian o sobie nie mam ci wcale co do powiedzenia. Kończę wydział prawniczy we Wiedniu, gdzie przesiaduję większą część roku. Resztę przebywam u rodziców, i bawię się wyśmienicie. Bywam w sąsiedztwie u szlachty, poluję, hulam, powiadam ci, rozrywają mnie sobie. Od czasu do czasu robię wycieczki na Litwę do bogatej babki, i czekam cierpliwie kiedy zacna staruszka umrzeć raczy..

Jak to mówią od *a* do *z*, wszystko zmyślił pan Kazimierz, który niczego nie posiadał tak obficie, jak bujnej fantazji w opowiadaniu o sobie. Od dwu lat już nie uczęszczał na uniwersytet, bo nie podoławszy pierwszemu egzaminowi, nie kusił się o niego powtórnie. Pani pocztmistrzowa zaś utrzymywała, że taki przystojny i dobrze urodzony“ kawaler, mający nadto w perspektywie majątek duży, może wcale obejść się bez studjów, nieodzownych chyba dla hołoty, która potrzebuje w przyszłości kawałka chleba. Wyposażony tylu warunkami Kazio może i musi ożenić się wyśmienicie, a do tego przecie zupełnie są zbyteczne prawa; byle nabrał ogłady towarzyskiej i był eleganckim młodzieńcem, będzie mógł sięgnąć po rękę i wdzięki najbogatszej panny.

Pan pocztmistrz wprawdzie w duchu był innego zdania, on jednak już bardzo dawno odzwyczaił się objawiać swoje przekonania głośno, i najlepiej mu z tem było, gdy milcząco potakiwał przemądrym wywodom swojej małżonki. Czasem, gdy raz, drugi i dziesiąty przyszło mu oddać dla cacanego a wiecznie potrzebnego jedynaka ostatnie pieniądze z domu, odważył się zwrócić uwagę żony, że mają jeszcze oprócz Kazia dwoje dzieci, że Kazio trochę za dużo wydaje, i trzy czwarte ich dochodów zabiera, że już się zadłużyli na realności, i gdy tak dalej pójdzie, to w końcu zejdą wszyscy na żebraków; perswazje te jednak nie pomagały, a jeno ściągały nań zawsze burzę gniewów i wyrzutów. Ostatnim argumentem pani pocztmistrzowej było zapewnienie, że Kazio ożeni się doskonale, i wszystkich wówczas poratuje. Dla szczęścia takiego jedynaka, należało im oddać choćby ostatnią koszulę. Mąż safanduła uznawał się czy udawał pobitego, i Kazio dalej rujnował skromny dobytek rodziców.

Wśród cichej rozmowy prowadzonej dalej urywkami, doszli do bramy cmentarza i tu pan Kazimierz odstąpił Jędrusia, obiecując się odwidzić go nazajutrz. Nie wypadało mu przecie na pogrzebie mówić o spadku po profesorze i ewentualnie nagabywać go o pożyczkę.

Na drugi dzień przed południem, zjawił się pan Kazimierz.

— A, gratuluję ci zaczął po zwykłem powitaniu. — Słyszałem, że jesteś uniwersalnym sukcesorem nieboszczyka?

— Rzeczywiście poczciwy opiekun, wbrew nawet mojemu życzeniu, darował mi całe swoje mienie. Tłumaczył się, że krewnych bliskich ani dalszych nie miał, a mnie za syna swego zawsze uważał.

— Zrobił bardzo pięknie, i z tytułu życzliwości koleżeńskiej dla ciebie należą się za to odemnie trzy Ojcze nasz za jego duszę. Cóż właściwie stanowi tę niespodzianą sukcesją?

Ten oto dom ze wszystkiem co zawiera, ogród, coś dziesięć morgów pola, kilka sztuk bydła, no i trochę gotówki...

A' więc stary miał i gotówkę? Wieleż przecie znalazłeś?

— Nie szukałem, bo mi za życia ją wręczył. Jak dla mnie suma wcale znaczna,

aż ośmset guldenów w listach zastawnych. Starowina snać całe życie od gęby odejmował sobie,

— Jak że się urządzisz teraz? Przecie dla tego bydła i pola nie zamieszkasz u nas?

— To bez kwestji... Powiem ci jednak prawdę, że dotychczas jeszcze nie ułożyłem sobie nic stanowczego.

— Jako obeznany ze stosunkami, pozwól, że dam ci dobrą radę. Bydło i ruchomości sprzedaj, dom i pola wydzierżaw, a gotówkę ulokuj w pewnych rękach. Będziesz miał z niej podwójny procent. W tem ostatniem mogę ci nawet pośredniczyć...

Na pierwsze dwie propozycje Jędruś zgadzał się, co do ostatniej okazał pewne wahanie. Atoli wymowa pana Kaźmierza, zaprawiona sporą dozą bezinteresownej życzliwości, zwyciężyła. Spieniężywszy wszystko i wynająwszy domostwo z rolą, Jędruś złożył przeszło tysiąc reńskich w depozyt do pana Kaźmierza, który miał tę sumę ulokować mu w krótkim czasie na 10 czy 12 procent, — i pożegnawszy drogie sercu mogiły matki, profesora, proboszcza i organistów, wracał do Zrębów, za któremi się już stęsknił był na dobre.

* * *

W Zrębach oczekiwano Jędrusia niecierpliwie, a nawet z niepokojem i utęsknieniem. To ostatnie oczywiście dotyczy specjalnie panny Karoliny, której dnie jego nieobecności przedłużały się w całe epoki obawy, niepewności żalu i tęsknoty. Pojechał na trzy dni, nie wracał tydzień cały, nuż nie wróci zupełnie! A jeżeli wróci, czy taki sam, jak pojechał! Tydzień w życiu młodego stanowi czasem zupełny przewrót w jego umyśle, upodobaniach, zamiarach, odmienia go nie do poznania. Wiedziała o tem panna Karolina z własnego doświadczenia, obfitego w przeróżne epizody, to też każdy dzień dalszy nieobecność Jędrusia przejmował ją coraz większą trwogą.

Podobnie tęsknił Jaś, który serdecznie przywiązał się był do swego nauczyciela. Po trzech dniach od jego wyjazdu codzień o tej porze, gdy mniej więcej pociąg stawał w pobliskiej stacji, wybiegał daleko na drogę, wiodącą ztamtąd, i codzień wracał zasmucony, że pana dyrektora jeszcze nioma. Czasem, pod pozorem przechadzki w dzień pogodny towarzyszyła mu w takiej wycieczce Małgosia, która nie okazując wprawdzie tak jak brat zniecierpliwienia i tęsknoty za panem dyrektorem głęboko jednak, gdzieś aż na dnie czternastoletniego serduszka swego, dziwną czuła próżnię zaniepokojenie skutkiem nieobecności w Zrębach tego poczciwego pana Jędzeja.

Od owego bowiem zdarzenia w polu z chorą kaleką i żywego zainteresowania się Jędrusia biedną staruszką, śliczne to dziewczę powzięło dlań gorącą sympatję i życzliwość, z których to uczuć na razie nawet nie umiała sobie zdać sprawy, mierząc je młodocianym swym umysłem i niewinnem sercem jedynie jako względy, które się należały mu, jako człowiekowi wykonywującemu cnoty Samarytanina. Atoli nad tem, że o tej sympatji swej nie odważyłaby się powiedzieć ani mamie ani pannie Karolinie, że śmiało jak dawniej nie zdołałaby popatrzeć teraz w oczy młodego chłopca nad nie zastanawiało się wcale — ani jej to na myśl nie przyszło! I nic dziwnego. Wychowana od dziecka sama jedna na wsi, w odosobnieniu od rówieśnic, które jedne w takich razach zdobywają sobie zaufanie i przystęp do młodziuchnego serca, w myślach swych siebie lokowała zawsze na ostatniem miejscu po Panu Bogu, rodzicach, bracie, pannie Karolinie i książce. Miała więc o czem myśleć — a że równocześnie to uczucie ciche i skryte, gdy raz zatliło w serduszku, nie wygasło, jeno owszem zwolna i stopniowo obejmowało coraz szerszy krąg w koło siebie, łatwo wytłumaczyć. Przecie Małgosia urodziła się kobietą!

(C. d. n.)

Gustaw Flaubert

przez

Jerzego Brandesa.

(Ciąg dalszy).

II.

W jaki sposób stał się takim, jakim go poznajemy w pierwszym romansie?

Ojciec jego był sławnym chirurgiem w Rouen, człowiekiem surowej uczciwości, dobrego serca, który synowi dał dobre i swobodne wychowanie. Że pierwszą jego siedzibą był dom lekarza, uczuwa się to w jego książkach. Sam studjował przez pewien czas medycynę, później prawo, ale już w szkole namiętny czuł pociąg do literatury, i spotykał się w tych marzeniach z rówieśnym przyjacielem, Ludwikiem Bouilhet, z którym zawarł przyjaźń na całe życie. Bez wątpienia znajdują się autobiograficzne pierwiastki w opisie przyjaźni między Fryderykiem a Deslauriers w romansie L'education sentimental Fl. jak Fryderyk przybył w 19 leciech do Paryża dla nauki. Ojciec jego kupił wiejski dom Croisset koło Rouen, który on potem odziedziczył pędził życie na przemian w Paryżu i w Rouen, życie, w którem zachodzą dwa wypadki: podróż na wschód, przedsięwzięta w 30tym roku i późniejsza podróż do Afryki północnej która poprzedziła wykonanie S a l a m b o. W Rouen zamykał się na całe miesiące aby studjować i pisać; w Paryżu szukał głównie rozrywek. W młodości był wytrwały w pracy i gwałtowny w zadowoleniach. Miał temperament odpowiadający jego powierzchowności. Widziałem go tylko przelotnie. Ale się nie zapomina tego wielkookiego, niebieskookiego Herkulesa, o czerwonej twarzy, wysokiem łysem czole i długim wąsie, nakrywającym wielkie usta i potężne szczęki. Głowę nosił wysoko, nieco w tył, brzuch nieco naprzód występował; chodzić wprawdzie nie lubił, ale zresztą lubił gwałtowne poruszenia i rozkładał szeroko ramiona, kiedy grzmiącym głosem wyrzucał z ust olbrzymie paradoksy. Był dobrodusznym, jak wszystkie hałaśliwe olbrzymy. Złość jego — mówi jeden z przyjaciół — wykipiała i upadała jak mleko.

Wyrósł w czasie rozkwitu francuskiego romatyzmu, pierwsze piętno otrzymał w jego szkole i zachował zeń ślady, nie tylko w stylu i w przypominającym Th. Gautiera „dzikim“ sposobie łajania burżoazji, ale nawet w manierze ubioru. Lubił nosić szerokie, cieniste kapelusze, wielkokraciaste spodnie i surduty wązko do figury przylegające; w lecie w mieszkaniu chodził w szerokich spodniach w białe i czerwone paski i w rodzaju burki, która go czyniła podobnym do turka. Pomiędzy przyjaciółmi obiegała pogłoska, że mieszczanie w Rouen przy świątecznych wycieczkach na wieś, robili dzieciom obiecankę: „Jak będziecie grzeczne, to pokażemy wam pana Flauberta w jego ogrodzie“.

Powiedziałem, że kilka podróży było głównym wypadkiem w jego życiu. Kobiety mniej miejsca zajęły w niem, aniżeli u większości innych ludzi. W dwudziestu latach kochał je jak Trubadur. Wówczas dwa razy odbył dwumilowy spacer aby w pysk pocałować najfundlandczyka, którego pewna dama lubiła pieścić. Później przyzwyczaił się do grubszego poglądu i praktyki w sprawach erotyki. Lubił anegdotę i powiastki w rodzaju Rabelais'go i w książkach swoich brał miłosną illuzję tak samo szorstkiemi rękami jak i wszystkie inne. Nie mniej przeto była na tym punkcie jak i na tak wielu innych charakteru Flauberta, stała dwoistość. Stary kawaler, namiętny palacz tytoniu, obcujący poufale tylko z mężczyznami, który nie znajdował przyjemności w towarzystwie żadnych kobiet, chyba pięknych a nie surowych obyczajów, wierzył zapewne w skutek osobistego doświadczenia jako też na podstawie ogólneg

przekonania, iż wszystko co istotne nie udaje się człowiekowi, w to że naturalnem, można rzec regularnem jest dla mężczyzny, przez całe życie żywić jedyną wielką miłośną namiętność, nigdy nie zaspokojoną. W dobrej zgodzie z tem pisze w jednym z listów, z ostatnich lat życia żartobliwie, ale zarazem z bolesną prawdą: „**My** biedni pracownicy literatury! dlaczego zabroniono nam to, na co chętnie zezwalają wszystkim mieszczuchom? Oni mają serce! a my nigdy, przenigdy! bo powtarzam ci raz jeszcze, że ja jestem niezrozumianą duszą, ostatnią gryzetką, jeden pozostały przy życiu ze starej rasy trubadurów".

Pomimo tego wszystkiego ta „niezrozumiana dusza" nie starała się zwracać do kobiet w celu szukanią zrozumienia. Bał się miłości, jako niebezpieczeństwa i ciężaru. Tylko przyjaźń była dlań religją, a pomiędzy przyjaciółmi nikt nie stał przy nim tak blisko, jak ów pierwszy otwarty przyjaciel Bouilhet. Nie wiem, czy były kiedykolwiek czasy życzliwie usposobione dla duchów niezawisłych. Ale to jest pewnem, że ei dwaj młodziency wstępujący w życie, kiedy burżuazja pod Ludwikiem Filipem osiągnęła panowanie i znalazła poetyczny wyraz częścią w słabej owej, poczciwej Ecole du bon sens, częścią w komedjach Scrib'a, losem natrafili na czas najgorszy ze wszystkich. Romantyka się przeżyła i wydała własną swą karykaturę. Wszędzie należało do dobrego tonu chwalić zdrowy rozum a poezję wyszydzać. Natchnienie i namiętności były to stare mody — a przeto śmieszne. Wszystko, co nie mierne, uważano za nudne. Dwaj młodzieńcy pojmowali swój wiek jako medjokrację, panowanie mierności, przypatrywali się, jak zwycięska miernota na kształt trąby wodnej, wszystko wsysała i toczyła w swym wirze.

To im obu dało za podstawę melancholję i głęboką powagę, podkład pogardy ludzi, uczucie duchowego odosobnienia, a stąd popęd do produkcji w rodzaju nieosobistym, niokazującym współczucia.

III.

Pod naciskiem takiego nastroju postanowił nareszcie Flaubert w dojrzałym męskim wieku wystąpić w roli pisarza i napisał Madame Bovary. W tej książce uderzało lodowe zimno, takie wrażenie, jakby autor prawdę wywindował nakoniec z głębokiej, zimnej studni, gdzie ona leżała, i jakby ta prawda stała na piedestale zmarznięta, wyniosłszy ze sobą zimny dreszcz z bezdennej głębi. Dziwna to książka, napisana zupełnie bez tkliwości względem przedmiotu. Inni przedstawiali spokojne życie na wsi i na prowincji z rzewnością, z humorem, albo nawet idealizując, co zwykle jest skutkiem przyglądania się z odległości. On patrzył na nie bez współczucia, przedstawiał je tak bezdusznem, jakiem było. Landszafty były bez tak zwanej poezji, tylko zwięźle i dokładnie malowane. W surowem mistrzostwie tem się zadawalniał, aby dawać tylko główne te rysy i główne barwy, ale te rysowały i malowały landszaft całkowicie. A tak samo mało czułości żywił dla głównej osoby — rzadkie zjawisko u poety, zwłaszcza gdy jest nią jak tutaj kobieta młoda i piękna, wabiąca zmysły, która wśród tęsknot, pragnień i zmysłowo-duchowych pożądzeń żyje, błądzi, rozczarowuje się, upada i ginie nigdy właściwie nie spadając poniżej poziomu swego otoczenia. Ale każdy sen, każda nadzieja, każde świecidło, każda naiwna i niezdrowa żądza, która przeszła jej przez mózg, została zbadaną i wydobytą na jaw, bez poruszenia umysłu, nawet z ironją unoszącą się nad opisem. Zaledwie jest jedna faza jej bytu, kiedy się nie wydaje śmieszną lub moralnie wstrętną i dopiero gdy umiera straszną śmiercią, przygaszona ustępuje ironja i Emma skonała wprawdzie nie jako przedmiot współczucia, ale też już nie jako przedmiot pogardy.

Pozornie był poeta nawet przy opisie okropności godziny śmierci zupełnie zimnej. Że ten pozór złudny, świadczy list znajdujący się w dziele Türe'a „O inteligencji" *): „Kiedy pisałem o otruciu Emmy Bovary, czułem w ustach smak arszeniku, i tak dokładnie sam się zatrułem, że przez dwa dni nie mogłem trawić, nawet wymiotowałem po objedzie". Duchowe i cielesne przejęcie się autora zostało w romansie ukryte w skutek zupełnego panowania nad sobą w czasie wykonania.

W całej książce nie występuje ani jedna osoba, z którąby poeta miał coś wspólnego albo o którejby można myśleć, że chciałby nią być, chociażby w najmniejszym stopniu; osoby były wszystkie bez wyjątku zwyczajne, nie piękne, występne lub godne litości. I na tem stanowisku trwale się utrzymał. Młoda kobieta naprzykład pomimo niebezpiecznych instynktów zła, w tęsknocie do piękna, w dążeniu do ideału i długotrwałej wierze w romantykę miłości, takie właściwości, które nieco inaczej albo ostrożniej przedstawione mogłyby ją uszlachetnić nawet w błądzeniu; czegóżby z niej nie była zrobiła George Sand! Ale Flaubert właśnie nie chce wpaść na dawne ślady i umyślnie ze wszelkiej poezji obdziera tak zwane piękne albo słodkie grzechy. Oszukany małżonek również, pomimo że jest niezdarą jako lekarz, a prostak jako człowiek ma wskutek dobroci, cierpliwości, poczucia honoru i wiernego wielbienia dla Emmy pierwiastki, któreby w innych okolicznościach były działały wzruszająco; a przy jej śmierci rozwija przymioty, szczere przywiązanie, zapomnienie o sobie, które przez lekkie naciśnięcie palcem poety mogłyby się były wydać ważnymi, zakazującymi uszanowanie. Ale poeta nie chce zrobić tego małego nacisku w glinie; z miłości prawdy utrzymuje stale postać wewnątrz granicy, wydającej mu się prawdziwą, i od początku do końca pozostawia Bovarego dobrodusznym; bez godności bez zdolności, nieapetytnym nieborakiem.

W całym romansie znajduje się jedna tylko poniekąd sympatyczna postać, mały chłopiec aptekarski Justyn, z odległości ubóstwiający Emmę; i jest chwila po jej zgonie, kiedy zdaje się, iż poeta chce go uideali ować. Kiedy wszyscy odeszli, zbliża się on do grobu i taki następuje opis:

„Na grobie pomiędzy jodłami klęczało płaczące dziecię i pierś jego prawie pękając od łkania, jęczała pod ciężarem niezmierzonego bólu, który był łagodniejszy od miesiąca a bardziej niezgłębiony, niż noc".

Dziwimy się, że tych wierszy autorem jest Flaubert. Ale rzecz ciągnie się dalej: „Nagle zatrzeszczały drzwi żelazne. Był to grabarz Lestiboudois; przychodził szukając zapomnianej łopaty. Poznał Justyna przełażącego przez mur, i wiedział teraz, kto to był tym niegodziwcem, co mu wykradał kartofle".

To zdanie jedyne po pierwszej lekturz „Mme Bovary" po dziesięciu latach pozostało mi w pamięci i jest to podziwu godne zdanie; nie jest ono samowolnie ironicznie a la Heine; ironja jest tu głębokiem dziełem wszechstronnego ducha. Naturalnem jest, że Justyn przy śmierci ubóstwianej pani czuje serdecznie i poetycznie, nie mniej jest naturalnem, że on pierwej kradł kartofle i że grabarz za pomocą gienialnej intuicji w tej okoliczności, że on przełazi przez mur, widzi wskazówkę jego kradzieży kartofli. Ale że Flaubert ma na oku obie te rzeczy, te obie strony życia, to jest świadectwem duchowej siły i panowania nad przedmiotem, jakie o ile mi wiadomo nie wystąpiło nigdy w tej formie.

Artystyczna ironja jest też tu całkiem inaczej nieosobista, nieprzypadkowa i prawdziwa, jak u Merimee'go. Jest to sposób patrzenia przez stereoskop, nadający rzeczywistości plastyczność, przedstawiający ją okrągłą i wolną.

Nie ma nic dziwnego, że w tem dziele zrazu nie odkryto nic, jak ten sposób widzenia i zgodność z prawdą, jako jego wyrzut. Jeśli się pominie ten krótki czas, kiedy rozszerzy się całkiem naiwne pojawienie Flauberta jako pisarza nieobyczajnego, to potem powszechne było o nim pojęcie takie, że on był co

*) Warszawa.

się nazywa, realistą. Kopiował rzeczy nieznaczne i ważne z jedną i tą samą sumiennością, ale z upodobaniem do powszedności i tego, co narzuca moralność; wszystko stoi u niego na jednym planie, silnie ale surowo. Wielbiciele książki znajdowali jej wykład znakomitym; niechętni mniemali, że sposób Flaubert'a jest fotograficzny a nie artystyczny. Oczekiwano albo obawiano się z jego ręki nowej Pani Bovary. Ale oczekiwano nadaremnie. Lata ubiegały a on milczał. Wreszcie po upływie siedmiu lat wystąpił na nowo, a świat czytający głośno dał poznać zadziwienie. Treść książki była bardzo odległa od wiosek Normandji i 19. stulecia. Znaleziono zniknionego autora pani Bovary na ruinach starej Kartaginy. Przedstawił w ,,Salambo" ni mniej ni więcej, tylko Kartago za czasów Hamilkara, miasto i cywilizację o której się prawie nic nie wie, — wojnę pomiędzy Kartaginą i wojskiem zaciężnem miasta, wojnę, która nawet nie nastręczała interesu ani powszechnodziejowego ani idealnego. Oczekiwano paryskiego romansu wiarołomstwa, a otrzymano natomiast staro-punicką kulturę, cześć Tanity i kult Molocha, oblężenia i bitwy, okropnosci bez liczby i miary, śmierć głodową całego wojska, podobne męczeństwo schwytanego dowódcy libijskiego.

A najdziwniejszem było to, że wszystko to, o czem nikt nic nie wiedział i czego nikt nie mógł skontrolować, że ten cały zamarły świat dziki i barbarzyński występował z taką plastyką i drobnostkową dokładnością, jaka nie ustępowała wcale Pani Bovary. Odkryło się, że metoda jest niezależną od właściwości osnowy, ta sama wobec kolosalnego i obcego, co w obec codziennego, jak pierwej przedmiotu Ustroił sobie żart z publiczności, dowiódł przekonywająco, jak mało go zrozumiano. Jeśli go kto pierwej uważał za realistę przywiązanego do niwy wiejskiej, mógł teraz dowiedzieć się, że Flaubert w krajach płomiennych czuł się jak w domu. Jeśli kto mniemał, że mało-miejskie życie zdolne go było ująć swą brzydotą, koniecznością, że jego talent był hollenderskiej natury, musiał teraz odkryć, że Flaubert dzielił marzenia młodości z mężami z r. 1830. i zupełnie tak, jak oni, czuł pociąg do prymitywnych namietności i obyczajów barbarzyńskich. Ale do jakiego stopnia Flaubert w istocie podzielił sympatje i naiwności arcyromantyków, o tem nawet po ,,Salambo" domyślało się bardzo niewielu. Słońce Afryki i życie wschodnie uświęcili mu Byron i Wiktor Hugo, a osobiste wrażenia tylko umocniły poetyckie. Zapach kawy naprowadzał mu hallucynacje wędrujących karawan, i pożerał najobrzydliwsze potrawy z uczuciem religijnem, jeśli tylko miały nazwisko egzotyczne.

Flaubert zrobił wszystko co mógł aby utworzyć coś podobnego do starej Kartaginy. Ale był dość artystą, aby wiedzieć, że tu nie idzie o prawdę zewnętrzną, ale o wewnętrzną, czyli o prawdopodbieństwo. Jego opis był dla wielu bezwarunkowo przekonywający; na wątpliwość co do zgodności jego z dawno znikłą rzeczywistością odpowledział w mojej obecności jeden z najpierwszych krytyków francuskich: ,,Wierzę, że jest prawdziwym". Ale przeciw niedowiarkom wystąpił Flaubert jawnie i śmiało, odpierając napaść Sainte-Beuve w następujących słowach: ,,Tutaj nie zależy na prawdzie. Do djabła, stosuję się do archeologji. Jeśli barwa nie jest jednolita, jeśli szczegóły nie zgadzają się ze sobą, jeśli obyczaje nie dają się wyprowadzać z religii, a wypadki z namiętności, jeśli charaktery nie są utrzymane, jeśli kostiumy nie odpowiadają zwyczajom, a budynki klimatowi, w takim razie moja książka jest bezwątpienia nieprawdziwą. Jeśli zaś nie — to nie".

Tem wyrażeniem ugodził w centrum zagadnienia; czuć w niem dobre sumienie mistrza i stąd pochodzącą powagę jego słów. Dzieło to nie było, jak tyle późniejszych romansów, maskaradą, w której występują nowoczesne uczucia i namiętności w starożytnej odzieży: nie, wszystko to było z jednego odłamu, miało to samo dzikie i okrutne piętno. Miłość, chytrość, mściwość, religijność, siła charakteru, wszystko było nie nowożytne.

Miłość prawdy była widocznie tutaj tak samo szczerą i silną, jak w pierwszym romansie. Tylko stało się śmiesznem w obec tego zwycięstwa nad śmiercią i przeszłością mówić przeciw fotografowaniu Flaubert'a. Można więc było z punktu tej książki zyskać dobre stanowisko do oglądnięcia ,,realizmu" poprzedniej. Stało się jasnem, że Flaubert nie należał do kopistów przypadkowej rzeczywistości. Ujrzano, że ta dokładność opisów pochodziła ze szczególnej, precyzji jego wyobraźni. Widocznie posiadał w równym stopniu oba pierwiastki, stanowiące istotę artysty, dar spostrzegawczy i siłę konstrukcyjną. Miał popęd i zdolność do studjum natury; historji, oko badawcze, któremu się nie wymknie żaden stosunek pomiędzy szczegółami. O fotografowaniu mówić było tu niemożliwością. Bo studjum jestto coś aktywnego, ognistego, poglądem rzeczy istotne; fotografowanie jestto coś biernego, machinalnego i obojętnego na różnicę między cechami istotnymi a nieistotnymi. A dalej Flaubert miał temperament artystyczny, bo usposobienie umysłu, które wszystek nagromadzony obserwacją i studjami materjał przetapia i przekuwa i nadaje mu stempel za pośrednictwem stylu Bo czemże innem jest styl, jak nie zmysłowym objawem temperamentu, jak nie środkiem, za pomocą którego zmusza autor czytelnika, aby tak patrzało, jak on patrzał! Styl czyni różnicę pomiędzy artystycznym rysunkiem wiernym prawdzie a udałą fotografią, — a styl był u Flaubert'a wszechobecny. Zaledwie pozbierał dla jakiego dzieła obserwacje i studja przygotowawcze, przestały go już one jako takie interesować. Teraz zależało na tem, aby tę książkę zapisać doskonałym językiem. Język stawał się wszystkiem a zapiski uczynione znikały jak rzeczy obojętne, bezwarunkowo podrzędne. Mawiał zwykle, że nie jest to żadną zasługą, że on jest dokładnym i zaufania godnym, jestto tylko prostą rzetelnością, jaką winien autor w obec publiczności zachować, ale prawda sama przez się nie ma nic w sztuce do czynienia: nie, — grzmiał i rozkładał szeroko ramiona, — jedyną ważną i wieczną rzeczą pod słońcem jest dobrze sformowane zdanie, zdanie mające ręce i nogi, spojone z poprzedniem i następującem i radujące ucho, jeśli się je samemu głośno odczytuje. Tak pisał każdego dnia mały ustęp, najwyżej 5 do 6 stronic, ważył każde, aby uniknąć powtórzeń, rymów, twardości; szukał powtarzającego się słowa w odległości 30 do 40 wierszy, a nawet nie znosił powtarzania się tej samej sylaby w jednem zdaniu. Często złościła go jakaś litera i poszukiwał słów, w których się nie znajdowała; niekiedy robił polowania na r — y, kiedy potrzebował płynnego dźwięku. Potem odczytywał sobie głośno to, co napisał, wyśpiewywał głosem stentorowym tak, że ludzie stawali na drodze pod jego domem. Wielu nazywało go adwokatem, i sądzono, że się ćwiczy w mowach sądowych. (C. d. n.)

Z najnowszej powieści

EMILA ZOLI.

Wyjmujemy charakterystyczny ustęp w którym opisana jest kradzież, popełniona w magazynie koronkowym i ustęp ten zatytułowany *Une voleuse* brzmi: Szelest koronkowych wyrobów wzmaga się z każdą minutą. Wielka ta wystawa białych towarów tryumfuje dzisiaj w całem tego słowa znaczeniu. W serduszkach kupujących pań, na widok tej niezliczonej ilości coraz to piękniejszych tkanin, których tysiące rozwija się okazów przed ich oczyma, krew raźniej krąży, formalny szał je ogarnia i żądza posiadania tych przedmiotów zbytku z każdą potęguje się chwilą. Cała ta przestrzeń, która się przed wzrokiem naszym roztacza, wygląda jak śnieżnej białości powleczona

barwą kaplica. Od dołu aż do samej góry piętrzą się stosy tiulów i gipiurów tworząc niebo, otoczone roskosznie igrającemi tu i owdzie obłoczkami, w których się odbija różanną barwą wschodzące słońce.

Oczy twe uderzają kolumny gęstych obłoków, złożonych z wolantów, wstawek, pończoszek obok białych sukienek baletniczych, jak bujające w powietrzu masy śnieżnych połyskliwych płatków.

Wszędzie, gdzie tylko rzucisz wzrokiem, na stołach i półkach uderza cię olśniewająca białość. Tu hiszpańskie blondyny powiewne jak puszek — tam brukselskie wyroby zdobne tkanemi kwiatami — gdzieindziej *Point a l'aiguille* — weneckie koronki, tkaniny *d' Alençon*, i wyroby koronkarskiego zakładu w Brügge, które obok królewskiego przepychu, noszą na sobie cechy religijne... Zdaje się, jakoby Bóg tego przemysłu tam sobie obrał swój ołtarz ofiarny.

Kiedy już hrabina de Boves w towarzystwie córki „nasyciła swój wzrok ogromem przedmiotów, z których każdy nęcił ku sobie, kazała sobie podać panu Deloche, koronki alensońskie. Deloche podał jej najprzód karton „Imitation", ale zażądała pra wdziwych, najlepszych, jakie magazyn posiada. Nie zadowolniły ją wcale małe garnitury po 300 fr. za metr — kazała sobie podać wolanty po cenie tysiąca franków za metr i chusteczki do nosa po 700 do 800 franków. W minucie leżało już przed nią na stoliku tyle kosztownych przedmiotów, że za ich cenę piękny możnaby zakupić majątek.

W zagłębieniu oddziału stał inspektor Jouve, który przez cały czas przechadzki po magazynie nie spuszczał oka z pani de Boves, a który i teraz nieporuszenie śledził każdy jej ruch ustawicznie.

— Masz pan taże *Berthes et point a l'aigille* zapytała habina de Boves. Proszę mi je podać.

Komisant, którego już od dwudziestu minut zatrudniała sobą, zawachał się chwilę nad tem, co ma zrobić — gdyż od czasu, jak przed kilku tygodniami popełniono kradzież dziesięciu metrów tak drogich towarów, wyszedł surowy zakaz od zarządu magazynu, aby niepozostawiać na wierzchu tak drogich przedmiotów. Ale wahanie to ustąpiło wnet zaufaniu obudzonemu dostojnością i manierami pańskiemi damy i zdecydował się pójść po koronki alensońskie.

— Patrzno mamo, ozwała się Blanka, oglądając karton z walencyjskiemi koronkowemi wązkiemi wstawkami dość wysokiej ceny; możeby wziąść tych wstawek na poduszki?

Hrabina nic nie odpowiedziała, Blanka rzuciła wzrok ku matce i ujrzała w tej chwili, jak zanurzyła rękę w zwój koronek z zamiarem przyswojenia sobie kilku kosztownych wolantów i ukrycia je w rękaw płaszcza. Blanki nie zadziwiło to wcale owszem zbliżyła się dość szybko z takiem poruszeniem, jakby chciała sobą osłonić matkę.

W tej chwili inspektor Jouve stanął niespodzianie pomiędzy niemi.

— Racz pani udać się ze mną—szepnął uprzejmie do ucha hrabiny.

— Dlaczego — hrabina odpowiedziała.

— Racz pani udać się ze mną, powtórzył inspektor, nie zmieniając tonu swego głosu.

Hrabina, na której licu przelotnie odbił się wyraz niepokoju, obejrzała się szybko do koła, poczem z postawą pełną godności, jak jaka królowa, krokiem majestatycznym, poddała się woli przewodnika.

Ani jedna z pań zatrudnionych w tej chwili oglądaniem i kupnem tych zbytkowych przedmiotów, nie zwróciła uwagi na całą tę scenę. Deloche powracając z żądanym kartonem, kiedy ujrzał hrabinę w towarzystwie inspektora, rozdziawił tylko gębę ze zdziwienia.

— Co? i ta? taka dostojna dama...— mruknął do siebie po chwili.

Blanka, którą pozostawiono na wolności postępowała z dala za matką, wybladła jak chusta z trwogi i obawy, chwiejąc się pomiędzy obowiązkiem nakazującym jej towarzyszyć matce, a trwogą przed niebezpieczeństwem grożącem jej samej. Widząc, że matka zniknęła w gabinecie Bourdoucle'a, postanowiła zaczekać na nią. Boudoucle w wypadkach kradzieży gdzie szło o damy wyższego stanowiska, sam się zwykł zawsze zajmować badaniem.

Jouve już od dawnego czasu zwracał uwagę Bourdoucle'a na hrabinę de Boves, nie zdziwiło go też wcale, gdy się teraz o kradzieży dowiedział. Zresztą, podobnego rodzaju wypadki trafiały mu się już nieraz i wyrobiły w nim przekonanie, że taka strojnisia dla zadowolenia swej żądzy posiadania błyskotek, do wszystkiego jest zdolną, że zaś Bourdoucle wiedział doskonale, jakie zachodzą stosunki pomiędzy jego dyrektorem, a hrabiną, przeto zachował się względem niej z wyszukaną grzecznością.

— O, pani, potrafimy uwzględnić chwile wybuchu tego rodzaju słabości, ale pomyśl pani, do czego ją może doprowadzić podobne zapomnienie się. Gdyby też był kto przypadkiem zwrócił uwagę, jak pani ukryła koronki...

Słowa te oburzyły niezmiernie hrabinę. Nie dozwoliła mu przyjść do słowa, odgrywając wielką damę, której honor smiertelnie został obrażony.

Słysząc ją, każdy inny na miejscu Bourdoucle'a byłby struchlał z trwogi i obawy, czy przypadkiem nie zachodzi tutaj niesłuszne podejrzenie, zwłaszcza, gdy hrabina zagroziła sądem w obronie swej dotkniętej czci.

— Pamiętaj pan — rzekła — że mąż mój całą tę sprawę przedłoży samemu ministrowi.

— Nie posiadasz pani ani na jotę więcej roztropności, jak inne w podobnem położeniu – odrzekł trochę zniecierpliwiony.— Ostatecznie, gdy tego okaże się konieczna potrzeba, zrewidują panią.

Ale i teraz jeszcze hrabina nie dała za wygraną i z wszelką pewnością odrzekła:

— Dobrze, proszę mnie zrewidować; ale zwracam pańską uwagę, że stawiasz tem na kartę reputacyę i egzystencyę firmy!

Jouve wyszedł z gabinetu w celu przywołania dwóch sklepowych sprzedających gorsety. Za powrotem oznajmił p. Bourdoucle, że towarzyszka hrabiny czeka przy drzwiach i że możnaby ją jeszcze i teraz przyaresztować jako współwinną.

Ale Bourdoucle nie chciał narażać hrabiny na to, aby się musiała rumienić przed córką.

Obaj mężczyzni wsunęli się do przyległego pokoju, podczas gdy sklepowe zajęły się zrewidowaniem hrabiny. Zdjęły z niej płaszcz, suknię pozostawiając ją tylko w gorsecie i spodniem ubraniu. Oprócz wolantów alensońskich (12 metrów po 1000 fr.) ukrytych w rękawie płaszcza, znalazły jeszcze pod gorsetem zwiniętą koronkową chusteczkę, wachlarzyk i *fichu* — co wszystko stanowiło wartość czternastu tysięcy franków.

Hrabina już od roku praktykowała podobne kradzieże pod wpływem szalonej, niepokonanej żądzy, która z czasem stopniowała i stała się w niej nałogiem. Żadne względy na następstwa, na hańbę jaką mogła okryć siebie i męża, zajmującego wysokie urzędowe stanowisko, nie zdołały jej powstrzymać na drodze występku. Teraz, gdy mąż pozwalał jej czerpać z swej kasy, kradła mając napełnione złotem kieszenie— dla samej kradzieży, jedynie z zamiłowania zgubnego nałogu; szła do magazynu jedynie w celu zadowolenia tej żądzy.

— To zmowa! — zawołała do Boudoucle i Joves'a wchodzących do gabinetu. — Te koronki zatknięto mi umyślnie za gorset. Gotowa jestem w każdej chwili przysiądz na to!

Upadła na fotel, zalała się łzami, które wycisnęła złość z jej oczu i łkając złorzeczyła im dalej.

Bourdoucle, urzędnik odpowiedzialny za ten oddział zakładu, odprawił sklepowe i

rzekł z nieopuszczającą go ani na chwilę zimną krwią:

— Jesteśmy gotowi z uwagi na stosunki familijne i towarzyskie pani hrabiny, zataić przed światem rzecz całą, ale proszę o podpisanie deklaracji tej treści:

„Skradłam w zakładzie „Au bonheur des dames" takie a takie koronki".

Pod spodem podpis i data. Obowiązuję się także zwrócić pani tę deklaracyę, jak mi pani przedstawi kwit na złożone na rzecz ubogich dwa tysiące franków.

Hrabina zerwała się płonąc od gniewu.

— Raczej umrę, jak podobną deklaracyę podpiszę!

— Nie umrzesz pani. Tylko oświadczam, że w przeciwnym razie złożę urzędowne zawiadomienie o całym wypadku do komisarza policji.

Po słowach tych nastąpiła tragiczna scena. Hrabina zaczęła łajać obydwu, zaklinać ich, dowodzić im, że się niegodzi z ich strony tak udręczać słabą i dystyngowaną kobietę. Jej wspaniała postawa, piękność jej rysów zatarły się w jej konwulsyjnych wybuchach wściekłego gniewu. Potem usiłowała ich skruszyć łzami, zaklinała obydwu na wspomnienia ich matek, nareszcie klęcząc żebrała ich litości i przebaczenia.

Lecz kiedy obaj, przyzwyczajeni już do podobnych scen, wysłuchali obojętnie i ani na chwilę nie zdradzili zamiaru ustąpienia ze swych żądań — usiadła, chwyciła za pióro i szybko podpisała żądaną deklaracyę.

— Oto jest, ulegam tylko sile!

Bourdoucle obejrzał pismo, złożył je starannie i schował do szufladki swego biurka.

— Widzisz pani, że zakład ma już deklaracyę... zapomnieć odebrania swego *bilet doux*... Powtarzam, że deklaracja jest do rozporządzenia pani za sumę 2000 fr.

Ubrała się i przybrawszy znowu postawę pełną godności, zapytała:

— Czy mogę już odejść?

Ale Bourdoucle zupełnie czem innem był teraz zajęty. W tej chwili myślał o oddaleniu z zakładu Delauch'a. Niedołężny to komisant, który pozwoli kraść kupującym i nie umie poznać się na nich.

Pani de Boves powtórzyła swoje pytanie, na co Bourdoucle dał tylko znak zezwalający ręką.

Hrabina rzuciła na obydwu piorunujący wzrok i z wyrazem pogardy, mruknęła:

— Podli!

I wyszła prędko zatrzaskując drzwi za sobą.

Obserwacje nad małpą.

przez

H. Schneidera.

(Dokończenie).

Nie mogę twierdzić, żeby Czega była żarłoczną, przynajmniej wygląda tylko na nią wtedy, kiedy chce coś dostać, czego jej odmawiają. I tak gwałtownie rzuca się na słoik z masłem, lub puszkę z kawą i oboma rękami napycha sobie tak usta, i może żuć przez pół godziny — ale przy zwykłem karmieniu jé czasem strasznie powoli. Jeżeli jej się postawi filiżankę mleka do klatki w ten sposób, że na mleko pada cień od pręta z klatki, minutami wpatruje się w cień, potem chce go schwytać w rękę i rozgląda się z największem zdziwieniem, a że nic w ręku nie ma. Wreście rewiduje filiżankę dokładnie z dołu do góry, a dopiero przekonawszy się, że nic wniej oprócz mleka nie ma, zabiera się do picia. Tak samo postępuje przy jedzeniu. Łupiny, ani skórki nie je, z zielonego grochu obłuszcza naprzód staran nie łupinę, a nawet z orzecha zdejmuje cieniutką skórkę. Jak ludziom najlepiej smakują zakazane owoce, tak samo i Czedze, która jak już powiedziałem wtedy tylko rospustnie się zachowuje, gdy chce coś dostać czego jej odmawiają; na tem, opieram się chcąc jej zadać jakie lekarstwo: rumbarbarum jej niesmakuje — o tóż gdy sobie popsuje żołądek zaczynam się bawić kawałkiem rubarbarum — Czega z ciekawością spogląda, ale ja bronię wszelkiemi sposobami, aby owego kawałka nie chwyciła — wtedy Czega raptem rzuca mi się na rękę, wyrywa rubarbarum i w jednej chwili z zadowoleniem połyka lekarstwo. W ten sposób zadaję jej także sodę, ale z tą różnicą, że przy tej manipulacji muszę sam zażyć małą dawkę.

Dziwnem zjawiskiem jest nienawiść, jaką pała Czega do małej mej córeczki. W mojej obecności Czega igra spokojnie na około dziecka, ale nie odważyłbym się ani chwili pozostawić ich razem samych, bo jestem pewny, żeby Czega ukąsiła niebezpiecznie dziecko. Skoro się tylko córeczka moja zbliży do klatki, Czega, wyciąga jak może najdalej obie ręce, aby ją pochwycić, a ręczę, żeby ją skaleczyła silnie, gdyby ją tylko dosięgła, tak wielką nienawiść do dziecka ma Czega. Jak zresztą utrzymują, wszystkie małpy nienawidzą dzieci, co wczęści da się wytłumaczyć uczuciem zazdrości, w części po czuciem fizycznej przewagi; przynajmniej uważam to tłumaczenie za jedyne, a równocześnie najnaturalniejsze.

Bardzo interesujące są figle małpy z moim małym pinczem jadalnym, który jest samcem. Pies ma do niej popędy, które dla niej są zupełnie obce — ona go nuży tak mocno, że pincz mój ledwie oddycha, a ona wtedy najdziksze skoki przez niego wyprawia.

Z początku małpa chce się niby pieścić z psem, nagle zrywa się chwyta go za gardło i rzuca na ziemię — wszystko to działa w jednej chwili, albo! raptem siada mu na grzbiecie, lub wreszcie chwyta go za tylną łapkę i ciągnie po całym pokoju — co bardzo zabawny przedstawia widok.

Zadziwiającym był dla mnie wypadek następujący: Po długiej gonitwie małpa skoczyła na sofę — pies za nią, choć daleko bardziej powoli; małpa skacze ze sofy na stół — pies za nią; małpa ze stołu — psu było to zawysoko stanął na stole i zaczął się namyślać. Z chwili też skorzystała małpa; oboma rękoma chwyciła za obrus, którym był stół nakryty; pociągnęła silnie i za chwilę pies leżał na ziemi usiłując się wydobyć z obrusa, w który się zaplątał — tymczasem małpa skoczyła na okno i zwidocznem zadowoleniem zaczęła klaskać w dłonie, że jej się figel udał.

Jest to bez warunkowo dowodem rozmysłu, zastanowienia się, co podziwiać należy w żwierzątku tak małem i stosunkowo tak nisko stojącem, które tak samo mało, jak jego przodkowie, żyło między ludźmi.

Wieczorem przed pójściem na spoczynek, Czegę „się wyprowadza", co dzieje się w ten sposób, że ją wystawiam trzymając w ręku za okno. Czega, tak jak dzieci bardzo się boi o swe życie, a kiedy ją trzymam nad przepaścią, ze strachu zaraz się wypróżnia. Po tej operacji zaraz idzie do łóżka. Czega od więce niż trzech lat spi ze mną w łóżku. Jażeli żona moja zawoła ją do siebie — to pójdzie, ale nie długo powraca, kładzie mi się w ramiona, obejmuje mię lewem ramieniem za szyję, a prawą rękę kładzie w moją lewę i tak spi twardo przez całą noc. Bardzo rzadko się budzi w nocy, a wtedy płata zaraz figle, drapie mię, ciągnie lekko za włosy i udaje, jakby mię iskała. Gdy się obudzę, uderzam ją z lekka, w tedy natychmiast kładzie się spokojnie i zasypia.

Aby przypadkiem Czega w nocy nie zrobiła niemiłej wizyty mojej córeczce nosi obróżkę, od której sznurek obwiązuję sobie na szyi. Ostrożność ta zaraz w początku okazała się bardzo rozsądną. Gdyby Czega odemnie pójść chciała, to sznurek pociągnąłby mię za szyję i musiałbym się obudzić. Ale Czega i na to sobie umiała poradzić, co znowu świadczy o znakomitej rostropności; jeżeli się czasem teraz obudzi, zachowuje się tak spokojnie, jakby ciągle spała, że tylko jeżeli sam nie spię mogę to zau-

ważyć, potem lekko paluszkami odpina obróżkę, odwiązuje sznurek, na szczęscie jednak nie udaje się to w zupełnosci, a ja obudziwszy się mam przyjemność obserwować jej usiłowania i natężenia inteligencji.

Na koniec wspomnę jeszcze jedno. Skoro zasypia widać zjawisko, które często u ludzi można obserwować. Człowiek w pół śnie marzy często, że spada z wysokiego rusztowania lub dachu, kurczy się konwulsyjnie poczem zazwyczaj natychmiast się przebudza. Z Czegą bezwątpienia musi się dziać, także coś podobnego; kurczy się nagle we śnie, poczem natychmiast się budzi, przytula się do mnie silniej, porusza ustami, jak by mię całowała i wydaje głos tęskny, płaczliwy.

Opisawszy w ten sposób dokładnie sposób życia mojej nietresowanej małpy, sądzę, że podałem szczegóły, które mogą zainteresować fachowców i niefachowców. Należę do loików w nauce, a miałem zamiar podać spostrzerzenia', jak one się loikowi przedstawiają; opis mój niepretensjonalny ma tę jednak zaletę, której sobie odmówić nie mogę, że jest co do litery prawdziwy. Nic nie pszesadziłem, nic nie opuściłem, nic nie dodałem! Przyszedłem do jednego przekonania, nie z książek, ale z doświadczenia, a mianowicie, że małpa jest zwierzęciem, która w sposób skończony umie się zastanawiać i myśleć. Jeżeli się zastanowimy, jaki przedział istnieje między mało rozwiniętą małpką jawajską, a takim szympansem, lub gorylą — logiczny wniosek ani chwilę nie może być wątpliwym!

Przegląd literacki.

(Herbert Spencer. Szkice filozoficzne. Wydawnictwo imienia T. T. Jeża; Tom I. Warszawa 1883)

Zdarzało mi się spotykać głosy w prasie, że jedynym faktycznym objawem czci społeczeństwa okazanej Jeżowi było „Ognisko".Tytuł ogólny książki, którą mamy przed sobą stanowczo temu zaprzecza; zaiste, kilka liter umieszczonych w nagłówku, bez żadnej przedmowy, mogącej wyjaśnić pochodzenie wydawnictwa utrudniło zaznajomienie się z niem szerszego koła publiczności i przez to usunęło na dalszy plan pracę i trudy tej dzielnej młodzieży, która czując wielki brak przekładów dzieł poważnych w literaturze polskiej podjęła się ten brak wypełnić. Praca, jak widzimy ze spisu rzeczy, była podzieloną między dwunastu tłumaczów. Nic nie można zarzucić wyborowi pisarza. Spencer nie należy wprawdzie do tytanów wytykających nowe drogi dla myśli ludzkich ale jest to najzdolniejszy tłumacz i propagator idei ewolucjonizmu we wszelkich kierunkach i na wszystkich polach. Ideę rozwoju obrabia on tak wszechstronnie i tak detalicznie, popierając ją masami faktów, że doszedł do wielu nowych wniosków w bijologii, socjologji i psychologii. Szkice, o których mowa (po angielsku pod tytułem: *„Essyays, scientific, political and speculative"*), były pisane 30-25 lat temu (po większej części, parę ma 20-18 lat) drukowane w czterech poważniejszych miesięcznikach angielskich, później wyszły w 3 tomach w wydaniu stereotypowem. Dane te przytoczyliśmy, żeby jednym przykładem więcej stwierdzić, jak długo polski ogół czekać musi na przykład poważniejszych dzieł. Ma to swoje łatwe do zrozumienia, złe strony — praca naukowa w Europie nie ustaje, i perjod 25 lat wiele znaczy, nie dziw więc, że z dwunastu szkiców znajdą się takie (jak naprzykład: „Organizm społeczny i „Teorja łez i śmiechu"), które nie stoją na społecznym poziomie nauki. Analogja pomiędzy organizmem zwierzęcym a społeczeństwem nie sięga tak daleko, jak tego chce Spencer, a odkrycie pierwiastków socjalnych (Espinas i in.) w życiu zwierząt usuwa poniekąd potrzebę takiej analogji. Co do teorji łez i śmiechu to przypomnę, że fizjologja nerwów i nauka o odruchach została stworzoną dopiero w ciągu ostatnich 25 lat, nic więc dziwnego, że objaśnianie śmiechu zapomocą potrzeby wypędzenia nad miaru tlenu z płuc, zarówno, jak płaczu — usuwania zbytecznej wilgoci z mózgu, należą do przestarzałych. Z innych szkiców niektóre, jak „moralność handlowa" i „etyka więzień" są osnute na tle wyłącznie angielskich stosunków i dlatego mają daleko mniejsze dla nas znaczenie. Nie dość krytyczny wybór pozwala nam przypuszczać, że wydawnictwo nie zatrzyma się na jednym tomie szkiców Spencera, ale wyda je wszystkie co byłoby niezaprzeczoną zasługą i cennym nabytkiem dla piśmiennictwa naszego. Przejdźmy teraz do samego tłumacza; jak wspomnieliśmy, praca jest zbiorową co utrudnia określenie jakości przekładu, gdyż każdy dział nosi na sobie piętno indywidualnego stylu tłumacza; trzeba wszakże przyznać, że rażących skoków niema i przekład robi ogólne wrażenie stylu niezbyt łatwego. Co do zgodności z oryginałem to trzeba przyznać, że sumienność pod tym względem posunięto do pedantyzmu i zaledwie parę miejsc znajdzie się, gdzieby można wskazać pewne zmiany lub wyrzutnie. Czysto językowe błędy są liczniejsze. Dość znaczna ich ilość nie powinna zniechęcać tłumaczy ale zmusić ich do zajęcia się poprawieniem języka. co zwłaszcza przydać się może przy dalszem wydawnictwie.

Przegląd teatralny.

W drugie święto wielkanocne rozpoczęła się nowa epoka w dziejach sceny lwowskiej. Jak poprzedni okres można śmiało nazwać czasem upadku, tak początek obecnego pozwala rokować, iż będzie mu można nadać nazwę odrodzenia. Nie chcemy zanadto zagalopować się w proroctwach, bo choć z początku widoczny zapał tak dyrekcji, jak i publiczności do teatru, choć jedna i druga ożywiona najlepszemi chęciami — to przecież nie można zapominać o tem, że u nas wszystkie zapały wybuchają jak płomień ze słomy — i tak też prędko giną. Czy dyrekcja wytrwa na stanowisku, jaki początkowo obrała — czy publiczność poprze i nadal — czas to pokaże.

P. Dobrzański, jako dyrektor teatru zrobił co tylko mógł, tego mu nikt nie zaprzeczy. Tak licznego i doborowego towarzystwa dawno niepamięta scena lwowska. W prawdzie w personalu żeńskim czuć pewne braki jeszcze — mamy jednak nadzieję, że i to da się uzupełnić.

Z dawnych znajomych powrócili na scenę naszą pp. Zboiński, Fiszer i Lubicz z nowych przybyli pp. Żelazowscy i Wojdałowicz z Krakowa. Operetka zaś zyskała w p. Bandrowskim wcale dobry nabytek.

Na pierwsze przedstawienie daną była Balladyna, w której gra pp Aszpergerowej, Nowakowskiej i Wojdałowicza zyskała powszechne oklaski i pochwały. Podziwialiśmy nowe i ładne kostjumy, oraz nadzwyczajną staranność w całem przedstawieniu.

W dzwonach kornewilskich przypomniał się znowu dawnym znajomym p. Zboiński i grał jak dawniej, t. j. dobrze. Dziś zobaczymy go w roli Radziwiłła — nad którą unoszą się recenzje dzienników petersburgskich.

W rozbitkach Blizińskiego rolę Straszy odegrał p. Żelazowski — a publiczność, która widziała go w roli Kirkora w Balladynie i poczęła już pewne wątpliwości okazywać co do zapowiedzi o jego talencie, jakie poprzedziły ten występ, jednogłośnie przyznała wielki talent i inteligencję artyście, który odegrał tę rolę świetnie. Jedną uwagę niech p. Żelazowski przyjmie — w grze jego, co do szczegółów wykończonej — brak gry i wyrazu fizyognomji.

Panią Żelazowską znów prosimy o powolniejszą deklamację — trochę pracy, bo talent niezaprzeczony.

A teraz słów parę o p. Wojdałowiczu. Młody i utalentowany artysta w roli Grabca zyskał ogólne pochwały — w Rozbitkach zaś, jakkolwiek się podobał, nie wyzyskał przecież wszystkiego, co to rola, choć mniej wdzięczna wydobyć pozwala. Z drugiej strony ma wielkiego rywala w p. Zamojskim. Z takiej jednak rywalizacyi tylko sztuka i publiczność korzyść odniosą. P. Wojdałowicz talent ma niezaprzeczony, siłę komiczną również — a przy pracy zdobędzie sobie stanowisko, pierwszorzędnego artysty.

Operetkę pod zmienionym tytułem „Wesoła wojna“ odegrano i odspiewano w nowej obsadzie. P. Bandrowski wystąpił po raz pierwszy w roli, którą dawniej spiewał p. Myszkowski. Jako tenor, p. Bandrowski jest dobrym nabytkiem, ale gra pozostawia wiele do życzenia. Ogromny brak rutyny i życia. W prawdzie to dopiero pierwsze kroki na scenie — można się zatem spodziewać, że wnet się oswoi z deskami i będzie nietylko śpiewał ale i grał poprawnie.

Wczoraj dano „Rozwiedźmy się“ Sardou — w sztuce tej odniosła tryumf, p. Kwiecińska. Artystka ta, tak dawniej zapoznana, niewłaściwie używana nawet do operetki — jednem słowem gnębiona — wczoraj okazała jak wielkim zasobem talentu rozporządza. Dyrekcja baczyć winna, aby tego talentu znowu nie sprowadzić przez niesumienną lub uprzedzoną reżyserję na fałszywe tory.

Publiczność zapełniła teatr na każdem przedstawieniu — okazała tem sympatję dla nowej dyrekcji — okazała — że jeżeli dyrekcja nie będzie traktować sztuki po macoszemu, może liczyć na jej poparcie.

Tumult.

ZIARNKA.

W artykule „W obronie pokrzywdzonych“ podnieśliście słusznie oburzający fakt, że rząd przyjmuje do sądownictwa, nauczycielstwa etc. aplikantów bazpłatnych, że nie wynagradza ich pracy. Lecz sąd wasz uważam za jednostronny, obwiniacie tylko jedną stronę, a czyż mniej są winni ci, którzy pracę swoją bezpłatnie ofiarują? Czyż nie są bardziej winni, iż czynią to folgując przesądom, których jako ludzie wykształceni miećby niepowinni. Czyż nie oni tworzą rozmyślnie proletorjat inteligencji? Czyż syn szewca ukończywszy politechnikę albo uniwersytet ma się wstydzić rzemiosła? Gdyby ci panicze co po ukończeniu wyższych naukowych zakładów idą na djurnistów, bezpłatnych aplikantów, lub siedzą z założonemi rękami wyczekując aż im jakieś urzędowanie się zdarzy, wzięli się do pożytecznej uczciwej pracy w przemyśle, handlu, rzemiośle. Społeństwo miałoby z nich rzeczywisty pożytek, pożytek podwójny, raz że zajęcia te zyskałyby świattych wykonawców, dobrych rzemyślników, rozumnych kupców, którzyby zbawiennie oddziaływali na podniesienie poziomu umysłowego mieszczaństwa, powtóre, że oddziałaliby zbawiennie na usunięcie tak bardzo u nas silnego przesądu, że szlachcic — rolnik jest czemś bezporównania wyższym moralnie od innych warstw społecznych. Czyż stopień doktora praw lub inżyniera przeszkadza być dobrym krawcem lub handlarzem? Czyż wyższe wykształcenie potrzebne tylko ziemianom? Powie kto może, że rzemieślnik, kupiec może się obeść bez wykształcenia, a przydatniejszem mu wykształcenie fachowe. Zapewne, tak ziemianinowi również pożyteczniejsze jest fachowe wykształcenie. Nikt nie może żądać od rolnika, kupca, rzemieślnika aby koniecznie kończył uniwersytet, wcale się na to nigdzie, nie tylko u nas, nie zanosi. Wszakże bierzemy rzeczy jak one są. Mamy ludzi z wyższem wykształceniem więcej aniżeli ich możemy zużytkować jako prawników, inżynierów i t. p. i ci ludzie nie mogą sobie znaleść chleba w powyższych zawodach, dla czegoż więc nie szukają go w innych, które stoją otworem? Oto dla głupiego powodu, że zajęcie rzemieślnika lub kupca jest niższe, podlejsze aniżeli urzędnika, adwokata lub inżyniera, i dla braku ducha przedsiębiorczego. Przesąd ten jednak, który ma silną podstawę w tem, że zajęcie rzemieślnicze i handlowe uprawiane przez ludzi z bardzo ograniczonem wykształceniem, zostałoby znacznie z modyfikowanem, gdyby właśnie ludzie wykształceni jęli się tych zajęć. Wdalszej zaś konsekwencji gdyby ci panowie doktorowie zechcieli szukać zajęcia w gałęziach, które stoją dla wszystkich otworem i gdzie zawsze znajdą pracę i kawałek chleba, rząd niemając nadmiaru sił roboczych w urzędach byłby zmuszonym płacić sprawiedliwiej swoim urzędnikom, bo nie miałby tak obfitego zaofiarowania bezpłatnej pracy.

Zpoważaniem

A. J.

* * *

Jest unas zwyczaj zakorzeniony niestety głęboko w dziennikarstwie, chwalenia wszystkiego, bez względu na to, że takie bezmierne a niesłuszne pochwały przyczyniają się do zbałamucenia opinii i wyradzają brak krytyki u ogółu, który szerząc się we wszystkich kierunkach tyle nam już przyniósł szkód w życiu, a jest tamą prawdziwą na drodze ogólnego rozwoju społeczeństwa. Zwracamy na to uwagę mimo to, że w tym samym sensie poznaliśmy artykuł wstępny i mimo to, że w tym wypadku chodzi o rzecz niewielkiej wagi, bo o zwyczajny odczyt Loewensteina o Farysie Mickiewicza. Dzienniki nasze podniosły z oznaczeniem, że prelegent dopatrzył się symbolicznej myśli w poemacie Adama i widział w owym goniącym po stepie Polskę, w sępach, okrążających głowę jeźdźca trzy rozbiory i tp. i tp. Podobnym hipotezom należałoby kres położyć. Wolno szukać wszędzie myśli symbolicznych i mistycznych ale niewolno czynić tego absolutnie na koszt cudzy, a zwłaszcza nie na koszt Mickiewicza. Wszelkie podkładanie znaczenia symbolicznego poematowi tam, gdzie poemat sam przez się jest jasny i zrozumiały zwie się nadużyciem, bo jest wykrzywianiem, koszlawieniem zdrowej myśli. Za takie podkładanie wyszukanego znaczenia pod treść poematu słuszne już zaczuły A. Małecki zarzucił Szujskiemu za jego komentowanie „Ojca zadżumionych“ Słowackiego, a zdaje się, że zarzut ten dotyczyłby jeszcze więcej p. Loewensteina. Niechaj prelegent będzie spokojny o Mickiewicza. „Farys“ jego będzie genialnem poematem, nawet bez komentarzów i hipotetycznej symboliczności p. Loewensteina....

* * *

Boże! broń mię od moich przyjaciół! mógł zawołać p. Adolf Abrahamowicz przeczytawszy w „Kurjerze Lwowskim“ następującą reklamę swej nowej fraszki scenicznej. Oto owa reklama:

Również wkrótce pokaże się na deskach teatralnych „Pupil pupila“, wyzwolony świeżo z kurateli sądowej przez p. Adolfa Abrahamowicza, niepospolicie utalentowanego naszego pisarza dramatycznego i niestrudzonego oracza na tej tak zaniedbanej u nas niwie. Polski ten Labiche opracowuje teraz nową komedję p. t. „Zgromadzenie przedwyborcze“, osnutą na tematach, dostarczonych przez ostatnią agitację wyborczą w naszem mieście. Będzie to prawdziwy *tono de forco* (?) w sztuce układu scenicznego, bo przed widzem przesuną się jak w kalejdoskopie najbardziej charakterystyczne momenta akcji wyborczej, wśród których wić się będzie czerwona nić fabuły miłosnej, a do spazmatycznych wybuchów śmiechu pobudzać będzie ten wesoły humor, swojski, szczery i

dobry, a nieraniący nikogo, którego takie niewyczerpane zasoby posiada p. Abrahamowicz. I wszystko to, co jest właśnie największą sztuką, zamknięte będzie w wąskich ramach jednoaktówki. Żałujemy mocno, że dyskrecja nie pozwala nam na razie podać szczegółowego opisu tej znakomitej komedji.

„Kurjer" zrobił przysługę p. Abrahamowiczowi, nazywając go polskim Labichem, do czego z pewnością p. A. nie ma i nie może mieć żadnej pretensji, szkoda, że „Kurjer" niezzrobił go odrazu Sardou! Proszę o hamowanie się w robieniu reklam — choć odrobinę — bo w śmieszność się w pada.

ZAPISKI.

Literatura.

* Publiczność interesująca się literaturą zagraniczną ucieszy się zapewne wiadomością iż „Don Żuan" Byrona w tłumaczeniu Wiktora z Baworowa, został już ukończony i wyjdzie niebawem z druku. Poemat ten, obejmujący 16,000 wierszy, jest jednem z najznakomitszych dzieł Lorda Byrona niejako treść całej działalności jego, wyzwaniem do walki z której autor zwycięzko wyszedł, gdyż świat ówczesny zmusił do uznania potęgi swego geniuszu. Goethe powiedział o Don Żuanie: „Don Juan ist ein grenzenlos geniales-Werke, Menschenfeindlich bis zur höchster Grausamkeit... der Dichter schont die Schprache so wenig mit den Menschen". Mieliśmy sposobność czytać rękopis i przyznać musimy, że przekład Wiktora Baworowa posiada olbrzymie zalety. Tłomacz poeta oddaje nie tylko sam przedmiot, ale wżywszy się w autora i jego arcydzieła oddaje treść jego bogatą i różnorodną co do ducha i formy z największą dokładnością, przyswajając sobie technikę poetycką, właściwości stylu, manierę i nawet pozorne wady orginału. Tłomacz więc zmienia według kaprysu autora ton, język i rytm, naginając zręcznie do treści opowiadanie, przelatując całę skalę tonów, aby oddać obrazy pełne uczucia lub grozy, smutku lub ironji, tragiczne lub humorystyczne na pozór, mówię na pozór barda gdyż humor i wesołość lorda angielskiego nie są niczem innem jak tylko zamaskowanym sarkazmem Zdanie jakoby Don Zuan był lekkim i żartobliwym jest zupełnie mylne, podobnie jak uśmiech wzgardy i szyderstwa nie bywa wyrazem wesołego nastroju ducha. Lord Byron rozgoryczony, znękany nieszczęściem domowem i niesprawiedliwym sądem ówczesnego społeczeństwa angielskiego, w poczuciu własnej wyższości spoglądał na świat, który go potępiał z uśmiechem wprawdzie, ale nie litości, ani wesołości. W Byrońskiem śmiechu jest coś tak strasznego, że dreszcz przejmuje czytelnika. Z drugie strony, utwór w którym poruszone są wszystkie zagadnienia psychologiczne. moralne, poetyczne i społeczne trudno nazwać lekkim. Styl jest potocznym bez śladu retoryki i metafor, jak go spółczesny krytyk anonim słusznie nazwał „anti-humbug-style." Tłomacz wywiązał się z tego trudnego zadania z wielką zręcznością, sumiennością i talentem, stworzył prawie język „ad hoc", poprawny, elegancki i z oryginalnemi właściwościami. Ze znajomością erudyta, zbogacił wyrazownictwo polskie mnóstwem wyrazów zapomnianych lub nie używanych, zastosowując je zręcznie i właściwie, co sama może mu być poczytane za zasługę. w reszcie nie wątpliwie wzbogacił literaturę naszą znakomitem dziełem, owocem długoletniej pracy i głębokich studjów i postawił pomnik poecie angielskiemu na ziemi polskiej, który wywarł tak stanowczy w ływ nacharakter i dzielną naszej poezji romantyczne;

* Dr. Antoni J. ogłosił nowe opowiadanie historyczne p. tyt. „Niewiasty kresowe". Przedstawił nam tu autor kilka kobiet, zmuszonych niepewnością życia w obliczu napadających ciągle Tatarów do rzemiosła wojennego. Twarde warunki wyrabiają w tych niewiastach hartowną duszę, a żołnierskie zajęcie wytwarza w nich dzikość obyczajów. Prawie wszystkie dosiadują konia, walczą, porają się z sąsiadami, a niektóre, jak Młocka, spieszą w ślad za uwięzionymi swymi mężami do Turcji. Prawie wszystkie odznaczają się temi samemi rysami. Ta jednostajność charakterów sprawia pewną monotonność. Pierwszy obrazek czyta się z zajęciem, drugi tak samo przy trzecim męczy się umysł a przy czwartym nuży się uwaga.

* Pan Hilary Nussbaum wydał w Warszawie dziełko pt. „Leon i Lajb." studjum religijno-społeczne. W dziełku tem przedstawia autor obraz poglądów dwóch stronnictw, ścierających się na łonie społeczności żydowskiej, mianowicie postępowego, goto wego podejmować obowiązki obywatelskie w kraju i staro-żydowskiego. uważającego swoje interesa, obyczaje, mowę i pojęcia za odrębne, uprzywiliowane królestwo swoje. Wychodząc z zasady, że wszelkie dysputy religijne nie są dziś na dobie, użył autor formy dyalogu, w którym dwóch reprezentantów wskazanych obozów broni swoich opinji.

* Wydawcy „Gazety Rolniczej" i „Kurjera Rolniczego" przystąpili do wydawnictwa „Głównych zasad gospodarstwa wiejskiego", dzieła, które w przystępnej i popularnej formie obejmie systematyczny wykład wszelkich gałęzi produkcji rolniczej. Pierwsza praca „Ogólna uprawa roli" wyjdzie niedługo i stanowić będzie I. tom wydawnictwa. Później wyjdzie „Uprawa szczegółowa roslin" a następnie „Hodowla zwierząt".

* Znany tłómacz poetów greckich, profesor krakowski Jan Czubek wydał w osobnej odbitce dziełko pt. „Lirycy greccy" Kraków 1883 r. str. 115.

* Staraniem „Przeglądu Tygodniowego" wyszło dzieło pt. „Historja Hellady i Rzymu" przez Dr. Herszberga, przełożona przez Bronisława Grabowskiego.

* Karol Marx, jak donosi Kolońska Gazeta, zmarł nie w Argenteuil pod Paryżem, ale w Londynie, gdzie stale do końca życia zamieszkiwał. Pomyłka ta powstała ztąd, że bioro telegraficzne Wolffa otrzymało wiadomość od zięcia zmarłego, redaktora paryzkiej „Justice", Ch. Longuel, mieszkającego w Argenteuil u którego Marx bawił przez parę miesięcy w przeszłym roku. Taż gazeta donosi, że drugi tom dzieła „Das Kapital" pozostał przygotowany prawie do druku i ukaże się wkrótce. Wydaniem zajmie się Fryderyk Engel. W tomie tym traktuje Marx o przechodzeniu majątków, podczas gdy w pierwszym traktował o ich powstawaniu. W trzecim tomie zamierzał zmarły opracować dzieje ekonomii, ale nakreślił kilka kart początkowych.

* W otoczeniu Makarta krążą wieści, iż Aleksander Dumas nosi się z myślą wydania książki o jego dziełach i że podobno w tym celu kazał zbierać w Wiedniu reprodukcje wszystkich okazów Makartowskich, któremi ma być ozdobione jego wydanie. Książka o Makarcie ma zresztą stanowić jeden tom, dwunastotomowego dzieła, mającego być wydanem pod kierunkiem Dumasa, które będzie zawierać monografie dzieł i życia dwunastu najsławniejszych artystów współczesnych.

* Z wydawnictw na jubileusz odsieczy wiedeńskiej zasługuje na uwagę nowe dzieło p. Toifela „Die Türken vor Wien 1683," które zaczęło wychodzić poszytami u Tempskiego w Pradze Czeskiej. Z pierwszego zeszytu trudno wyrokować o wartośc całego dzieła, ale ilustracje, zdobiące je obficie, są kópiami rycin współczesnych, a z tego względu praca p. Toifela będzie zapewne ogólnie poszukiwana.

Teatr i muzyka.

* „Teatr polski w Petersburgu" doznał niemiłego zawodu, gdyż antreprener tegoż otrzymał zawiadomienie władzy wyższej, że widowiska polskie zostają zakazane na przeciąg całego wielkiego postu w Petersburgu, tak jak i widowiska w języku rossyjskim. Czynne są tylko trupy; francuzka i niemiecka operetka

* Wielkiem powodzeniem, cieszy się wystawiony w tych dniach w „Odeonie" paryskim, dramat czteroaktowy, wierszem, Augusta Vacquerie, zatytułowany „Formoza". Rzecz się dzieje w Anglii, w wieku XV.

* Zarząd teatru w Beireuth ogłasza, że od 8 lipca począwszy odbędzie się tam 12 przedstawień „Parsifala", w drugi dzień zarządu.

Sztuki piękne.

* W sali hotelu Georg'a wystawione zostaną wkrótce dwa obrazy Makarta. „Bogactwo ziemi i morza" z salonu Krywulta w Warszawie. Wystawę uzupełni kilka portretów pędzla p. A. Grabowskiego.

* W „Atheneum" występuje Lanciani przeciw mysli postawienia pomnika Wiktora Emanuela na wzgórzu Kapitolińskim, które ma tak wielkie znaczenie dla historjf. Pocieszającą jest tylko nadzieją, że w ten sposób mnóstwo nowych wykopalisk odzyska, w które kapitoliński pagórek, jak przekonały dawniejsze czasy, zdaje się być tak bogatym.

Treść.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza

DO SIEWU!

Lucernę francuzką, oryginalną czystą i pewną.
Buraki pastewne olbrzymie.
Marchew olbrzymią białą i pomarańczową.
Groch duży biały Victoria.
Trawy i wszelkie rośliny pastewne.
Len olbrzymi Rygski.
Nasiona drzew szpilkowych i liściastych.
Nasiona Jarzyn, kwiatów, i wszelkich roślin gospodarskich z ostatnich zbiorów po miernych cenach poleca

GŁOWNY SKŁAD NASION
TEOFILA ŁUCKIEGO

we Lwowie.

Cennik odseła na żądanie franco.



Na jesień i zimę!

Największy wybór bawełnianych, wełnianych i jedwabnych kaftaników, spodeń, pończoch i skarpetek, wełniane kamizelki z rękawami (Jagdgilets), wełniane i jedwabne chusteczki na szyję, Płótna i stołową bieliznę. Główny skład gotowej bielizny, angielskich nieprzemakalnych płaszczy, Kołnierzyków, Manszet i Krawatek poleca po najumiarkowańszych stałych cenach

F. S. BARDASZ

we LWOWIE naprzeciw kościoła Katedry l. 9.

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Szan. P. T. Publiczność, iż

z dniem 17. Lutego 1883 roku

dobrze znany

ZAKŁAD RESTAURACYJNY

za Żółkiewską rogatką

pod „Dwoma lwami“ w tak zwanym „Pałacu“ — otworzyłem.

O dobre PIWO, MIÓD, WINO, jako też o smaczną wiejską kuchnię

postarałem się.

W Czwartki, Soboty i Niedziele przygrywa ulubiona

MUZYKA najnowsze utwory pod kierownictwem **L. BOGENA**

W każdy Czwartek doskonałe

KISZKI własnego wyrobu

W każdą Niedzielę wyborne warszawskie **FLACZKI** garnuszkowe a la Stępkowski.

W każdy piątek i sobotę

RYBY. Szczupak po **żydowsku** przyprawiany.

Ceny najtańsze.

Lokal mój jest najodpowiedniejszym we Lwowie do urządzenia prywatnych zebrań i zabaw towarzyskich.

Dziękując za dotychczasowe względy, tuszę, że Szan. P. T. Publiczność, mnie w tem trudnem zadaniu, które li tylko dla Jej dogodności i rozrywki przedsięwziąłem, łaskawie licznemi odwidzinami poprzeć raczy, zwłaszcza że obecna tania komunikacja koleją konną, podaje do tego najlepszą sposobność.

Z największym szacunkiem

KRZYSZTOF JANOWICZ.